



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Są temata, które się rok-rocznie o jednej porze powtarzają i o których musi pisać feljetonista z obowiązku, na stary motyw nowe snuć wariacje; najbardziej pomysłowa głowa i najzręczniejsze pióro nie potrafią w końcu zdobyć się na coś, coby nie było powtórzeniem rzeczy znanych, po tysiąc razy lepiej, lub gorzej wypowiedzianych, czegoby czytelnik nie czytał, nie słyszał, albo sam sobie nie powiedział.

Do takich tematów szablonowo już traktowanych z konieczności należą „zaduszki.“ Nie wspomnieć o nich, nie sposób—a wspominając, nie powiedzieć czegoś banalnego, albo osłuchanego i ocytanego, bardzo trudno.

Pomiędzy zatem reflexyę, jakie zwyczajem feljetonistów, wysnuć-by się dało z tego motywu, a poprzestańmy na samej stronie faktycznej i zanotujmy tylko, że święto grobów odbyło się bez zmiany, jak co roku, z tą samą tłumną, gwarliwą pielgrzymką na Powązki, wieńczeniem i oświetlaniem mogił, z tą samą mieszaniną podniosłych i poziomych rysów, a różniło się chyba od zeszłorocznych zaduszek większą ilością skradzionych w tłumie portmonetek przez rzeźmieszków, niezanających nawet miejsc poświęconych i lampek całemi kopami rabowanych z grobów przez owych cmentarnych kruków, które zlatują na mogiły dla obłowienia się kosztem cudzego pietyzmu i pamięci.

Dzień zaduszny rozpoczyna już dokumentną jesień w naturze i w życiu Warszawy; na mogiłach zmarłych zostawiliśmy resztę kwiatów leni, pogrobowców zgasłego lata. W tym roku św. Marcin na białym koniu jakoś nie galopuje, nie

rzuci pierwszej garści śniegu na ziemię, jako godło zimy.

Na wszystkich polach uczuwać się dają skutki ogólnego zastoju. Zastanawia liśmy się kiedyś nad smutnym objawem reakcyi, jaką bieda, cisnąca ogół, wywołuje wszędzie, a zwłaszcza na polu piśmienniczym i wydawniczym u nas. Przybywa nam do tego już widoczny dowód w fakcie, który charakteryzuje wymownie stan naszej prasy i stosunek z nią publiczności. Oto z nowym rokiem ubywa nam jedno z poważnych wydawnictw ilustrowanych; *Tygodnik Powszechny*, po dziewięciu latach istnienia i zdobycia sobie stanowiska poczesnego w prasie, przestaje wychodzić, zlewając się z *Tygodnikiem ilustrowanym*. Wydawcy, doświadczeni i obznajomieni dobrze ze stosunkami, uznali taką fuzyę za najwłaściwszy środek ulżenia sobie ciężarów w tych srogich dla wszelakich przedsiębiorstw czasach.

Konkurencya najbardziej wysiłona do niczego dziś nie prowadzi; ogół nie chce, czy nie może, utrzymywać tylu pism, a ofiarność jednostek musi mieć także swoje granice. Rozstrzelone usiłowania trzeba skupiać; proste prawo mechaniki uczy, że skoro dwie siły pojedyncze nie mogą poruszyć ciężaru, to złączone wzmódz się muszą i podołać nowemu zadaniu.

Ani jeden, ani drugi „Tygodnik“ przy najlepszych chęciach wydawców i staraniach redakcyi, w dzisiejszych warunkach należycie rozwijać-by się nie mógł; byłaby to praca Syzyfowa. Jeden drugiemu schodząc z drogi, przysparza miejsca zacieśnionego w prasie naszej, i choć to smutna konieczność, chociaż dla ogółu niezaszczytna, że utrzymać organów swojej intelligencji, umysłowego ruchu i literackiej twórczości nie może, na razie, jest ona dobrze zrozumianym środkiem ratunku wzajemnego.

Zapewne, chwila obecna jest chwilą przejściową; nazawsze taki stan utrzymać się nie może,

pogodniejsze słońko znowu zejdzie, ale ile oczu do tego czasu rosa wyje!...

Słyszeliśmy, jakoby „fuzya“ Tygodników zamiast zrazić, skusić miała kogoś tam do próbowania szczęścia w nowym wydawnictwie; nie przesądzamy sprawy, ale niekonsekwentnem wydaje się nam sam pomysł zakładania nowych ilustracyi w tej chwili, w której pisma poważne, z wyrobioną firmą, dla dobrze zrozumianych względów ekonomicznych i praktycznych, schodzić muszą z drogi innym, nie dlatego, aby same w sobie nie czuły i nie miały żywotności do dalszego istnienia, tylko, że ulegają warunkom chwili przejściowej.

Każdemu wolno za swoje pieniądze zakładać ile zechce dzienników i tygodników, utrzymywać je dla swej fantazyi własnym kosztem, ale przeczność każe obliczać się z okolicznościami i sytuacją. Po cóż okoliczności te obciążać i sytuację zacieśniać w tej chwili dla osobistego widzimisię, lub spekulacyjnego ryzyka?...

Gdyby ogół czytający uczuwał potrzebę rozwoju lub utrzymania *status quo* swojej prasy, gdyby chciał i mógł lepiej względem niej obowiązki swoje spełniać, nie potrzebowałyby organów jej ratować się eksperymentami, jak wspomniiana fuzya Tygodników naszych.

Experymenta te nie byłyby nawet w dzisiejszych ciężkich warunkach tak nieodzowną koniecznością, gdyby u nas ogół czytający i inteligentny lepiej obliczać się umiał ze sobą, gdyby literatury i dziennikarstwa nie uważał za przyjemny zbytek i rozrywkę, ale za potrzebę bardzo ważną dla siebie.

Prawda, że skarżymy się na biedę, na ucisk materyalny, ale bieda ta nie uczy nas rozumu, jakby należało; nie umiemy pozbywać się naszych lekkomyślnych nałogów, nie potrafimy rozsądnie i właściwie oszczędzać.

Skoro się rozeszła po Warszawie wieść o zamierzonym przyjeździe Patti, pomimo dziesięćkrotniej

ceny biletów do kasy teatralnej zaczęło się zgłaszać mnóstwo „biedaków“ z zamawianiem miejsc do łóż i krzeseł na występy „bożkiej primadonny“. Kiedy w Wilnie przed dwoma tygodniami dawała koncert Teresina Tua, tamtejsi „biedacy“ złożyli się na smyczek wysadzany brylantami, kosztujący przeszło tysiąc rubli.

Powiedzą na to mniej wymagający a więcej pobłażliwi, że to objawy oderwane, że zdarzają się u nas zawsze i wszędzie w złych zarówno, jak w dobrych czasach. Za wybryki jednostek trudno winić całe społeczeństwo — zapewne, ale od ilości tych jednostek, od chwili owych wybryków zależy, czy można je pomijać milczeniem i nie wciągać w rachubę.

Spółeczeństwo musi oszczędzać — mówią na usprawiedliwienie optymiści — musi się liczyć z wydatkami: dlatego nawet na najpoważniejsze cele do czasu skąpieć musi.

Być może, i w takim razie nie byłoby mu nic do zarzucenia, ale chodzi tylko o sposoby i środki tej oszczędności. Upadają wydawnictwa, zmniejsza się ofiarność publiczna, cofa pomoc dla spraw ogółu etc. etc., bo na to nie starczy pieniędzy, ale na inne, bardzo podrzędne cele, pieniądze się znajdują.

Restauracje, cukiernie, bawarye wyrastają jak grzyby po deszczu w naszej Warszawie; na ich wzrost starczy jakoś środków i opiek.

Dziwna ta oszczędność „od góry“, bo od głowy; zanim dojdzie do gardła i żołądka, długo jeszcze czekać nam przyjdzie.

Jedną ze spraw, którą zima wyprowadzi na porządek dzienny, będzie sprawa żywienia głodnych kosztem publicznym, na wzór zeszlornych prób w tym kierunku. Podobno już krzątają się znane filantropki około zebrania nowych funduszy i urządzenia kuchni dla bezpłatnych stołowników. Prus w ostatniej swojej kronice zwrócił uwagę na potrzebę naznaczenia choćby najmniejszej ceny za rozdzielaną żywność, gdyż ostatnie doświadczenia nie dowiodły praktyczności takiej bezgranicznej i bezinteresownej filantropii. Niechaj obiad taki kosztuje dziesiątkę, ale niechaj go kupić trzeba będzie, niech nie będzie jałmużną, która do niczego nie obowiązuje, nawet do „Bóg zapłać“, jak to było w roku zeszłym.

Zabieraliśmy w tejsamej sprawie głos przed rokiem i dzisiaj zdania naszego nie zmieniamy, zwłaszcza po rezultatach, jakie najlepsze chęci i zbyt hojna ofiarność żywicieli głodnych przyniosły. „Nic darmo“ — oto zasada, która nawet w dziedzinie filantropii może znaleźć praktyczne i pożyteczne zastosowanie.

Bardzo właściwem ustosunkowaniem ofiarności jednostek dla sprawy szerszego interessu wyróżnił się wniosek zatwierdzony na drugim zjeździe górniczym, który w zeszłym tygodniu obradował w Warszawie; chodziło o utworzenie szkoły sztygarów i górników niższego rzędu w Dębrowie. po zamknięciu założonej jeszcze za czasów Staszycy Akademii górniczej, tego rodzaju zakład naukowy był ciągle potrzebą niezaspokojoną. Obecnie, korzystając ze sposobności i z kapitału przeznaczanego niegdyś na taką instytucję, w ilości 40,000 rs., postanowiono przystąpić do urzeczywistnienia projektu. Właściciele kopalni i zakładów górniczych, nie wszyscy, niestety, zobowiązali się na zjeździełożyć na utrzymanie szkoły, ale w stosunku wydobywanego, lub przerabianego produktu ziemnego, to znaczy, od każdego stu pudów przeznaczono jakiś procent niewielki, z którego w ciągu roku i w miarę ogólnego rozwoju górnictwa, zbierze się fundusz potrzebny na instytucję kształcącą młodych górników. Jest to zatem rodzaj dobrowolnego podatku, który zaprowadzony w innych zawodach przemysłowych, mógłby dostarczyć środków pomocniczych wielu dobrym i pożytecznym celom, odkładanym zawsze *ad feliciora tempora*.

Tyle się u nas już nadarmo mówiło o potrzebie i skutkach solidarności jak najszerzej w sprawach ogólnego pożytku, że tylko z obowiązku powtarzać się można; te wszystkie ciężary, które dzisiaj dźwigać muszą upatrzone jednostki, dałoby się rozłożyć na drobne i nieznaczne prawie ofiary, gdyby cały ogół, a przynajmniej wię-

kszość jego zechciała poczuć się do obowiązku ich ponoszenia, jak się to dzieje w Niemczech albo w Czechach.

W Austrii np. istnieje stowarzyszenie pod firmą *Schulvereinu*, które opiekuje się szkolnictwem, liczy ono 99 tysięcy członków, kapitału do Września r. b. zebrało przeszło milion złr., dochodu rocznego ma 250,000, a posiada przeszło 1,000 oddziałów, z których prawie połowa dla celów towarzystwa działa i pracuje w samych Czechach.

Czemże są nasze biedne, zaniebawiane instytucje publicznego pożytku, zamykające swoje bilanse najczęściej niedoborem, żyjące z dnia na dzień z łaski, lub humoru tej części ogółu, której się zwykle pozostawia zaszczyt i obowiązek reprezentowania i zastępowania całości społecznej!...

Sezon zimowy bywa u nas obok wlewu popisów artystycznych, towarzyskich, literackich i innych, popisem filantropii i dobroczynności w Warszawie. Rozpoczynają go w tym tygodniu odczyty na Osady Rolne, odkładane tak długo i z takim mozołem przygotowywane prawie od roku; rozpoczyna koncert zapowiedziany na niedzielę na dochód studentów uniwersytetu. Wątpić nie można (tak się to już mówi w lepszych czasach przywykło), że oba cele zgromadzą liczną publiczność.

W koncercie studenckim powstanie w tym roku ważna luka przez ubytek Królikowskiego Jana, który nigdy udziału swego nie cofał i znakomitą swoim talentem przysparzał na estradzie dochodu uczącej się młodzieży; weteran naszej sceny ciężką złożony jest niemocą, która go od pół roku przeszło przykuła do łóża boleści. Obłożna choroba, niebezpieczna w tak późnym wieku dla organizmu długoletnią pracą nadwątłonego, wyczerpała nietylko siły, ale i fundusze znakomitego artysty.

Dyrekcja teatru i kolledzy naszego tragika postanowili pospieszyć mu z pomocą przez urządzenie koncertu, czy widowiska, z którego dochód przypadnie na dalsze poratowanie jego zdrowia; należy się to weteranowi naszej sceny, ulubieńcowi publiczności, jednemu z tych ostatnich pozostałych filarów sztuki dramatycznej u nas w szlachetnym i wysokim stylu. Publiczność warszawska nie znajdzie tym razem z pewnością żadnej wymówki do uchylenia się od tego objawu współczucia dla znakomitego artysty i jego rodziny, i teatr będzie przepełniony, gdy afisze zapowiedzą widowisko na dochód Królikowskiego.

Nie licząc tyle na sympatyje, ile na ciekawość Warszawy, Towarzystwo Dobroczynności w celu przysporzenia sobie funduszy, coraz skąpiej napływających na utrzymanie starców i sierot swoich, urządza wielki Bazar w początkach Grudnia r. b., i zrywa z dotychczasowym szablonem i tradycją bazarową. Przedewszystkiem zmienia miejsce i przenosi ów „Kiermasz“ przedsięwziętchny do zabudowań cyrkowych na Ordynackim, a wreszcie przez cały tydzień trwania Bazaru urządza bardzo obfity i urozmaicony szereg rozmaitych widowisk, niespodzianek i t. p. wabików, jak koncerta instrumentalno-wokalne, przedstawienia amatorskie, pochody kostiumowe, magia etc. etc.

Oprócz tego swoim zwyczajem, uproszone damy będą w namiotach sprzedawały przeróżne towary, łakocie, galantaryjne wyroby, fotografie, kwiaty i owoce.

Zdaje się, że tak nowy pomysł opłaci się lepiej Towarzystwu Dobroczynności, niż inne próby publicznej kwesty pod formą zużytej i wyzyskaną.

Na zakończenie winniśmy choć w kilku słowach wspomnieć o czytelnicy wyłącznie dla kobiet, urządzonej przy ulicy Niecałej, w której za mierną opłatą dziesięciu groszy ciekawe panie mogą codziennie od rana do wieczora przeglądać wszystkie ważniejsze organa prasy europejskiej.

Z czytelnicy dzienników połączona jest czytelnica książek. Mężczyźni nie mają tu dozwolonego wstępu, nie będzie zatem żadnej wymówki do korzystania z taniej, przystępnej i wygodnej lektury; pytanie tylko: czy znajdzie się u nas taki zastęp czytelniczek, któryby utrzymał zakład tego

rodzaju w Warszawie. Niepomyślna próba będzie jednym argumentem więcej przeciw tym przedstawicielkom płci pięknej, które poprzestają na tem, co przypadkowo tylko wpadło i zatrzymało się w główkach z czasów pensyonarskich, a potem troszczą się więcej tem, co na głowie, niż w głowie.

CZYTANIE.

Edgarowa Quinet, wdowa po szlachetnym myślicielu francuzkim, kobieta zacna i pisarka rozumna, zamieściła w miesięczniku paryzkim: *Nouvelle Revue* artykuł potrącający o wiele ważnych zagadnień życiowych. Pod tytułem: *Le Penseroso*, zebrała razem różne prawdy i spostrzeżenia, wśród których, jako pisarka nie mogła pominąć stosunku pisarza do jego pióra, książki do życia. — „Trzeba czuć i myśleć szlachetnie, aby pisać dobrze; trzeba przecież dobrze czytać, aby móżdżek czuć i myśleć szlachetnie“... pisze między uwagami swojemi nad tworzeniem się w ludziach zmysłu moralnego, i niezaprzeczoną tę prawdę stawia jako przestrożę, daną wychowaniu, jako przestrożę daną życiu, zwłaszcza kobiet. — „Dobrze czynią, nie pozwalając młodym dziewczętom czytania romansów“... dodaje i wykazuje, że rozum, sąd o rzeczach, powinny być pierwszej choć do pewnego stopnia ustalone, zanim fikcja przyjdzie rozrzucać przed umysłem obrazy złudne. Inaczej staje się niejednokrotnie ta rzecz zła, że własne życie ducha młodej istoty zostaje w niej zatamowaniem i schodzi do bezwiednego naśladownictwa tego, co się pochwyta z książki, przetwarzając materiał poddany wyobraźni, która jest w kobiecie bardzo silną, a w tym wieku świeża jeszcze, więc tem mocniej ulegająca wrażeniom odbieranym, tak się niemi przenika, że wrażenia własnego życia mieszają się z efektami, które sprawiły tamte, i wikłają się razem na nierozplątanie.

Nie jest też fałszem psychologicznym to zdanie autorki francuzkiej, że nieraz książka przeczytana stanowi jakgdyby wypadek zaszyły w życiu dziewczyny, kobiety młodej, bo wrażenie tej książki jest tu wypadkiem moralnym przez wpływy, które wywiera, przez wpływy, które oddziaływa na życie. Analiza uczuć gorących, analiza namiętności, przedstawiona przez książkę, rozbudza te uczucia, te namiętności i trzyma je niejako w gotowości, aby rozgorzały od pierwszej iskry, która na nie padnie, co przynosi nieraz życiu szkody ogromne. Związki serca zawierają się nieraz inaczej; pierwsza siła uczucia nie zmarnowałaby się nieraz, spływając na przedmiot lichy i mały, gdyby to uczucie wyrabiał się zdrowo i naturalnie, samoistnie z głębi istoty naszej występując. Łącznikiem między kochającą i kochanym byłaby rzeczywista dusz atrakcja, a nie gra wyobraźni, i rodzice mieliby więcej uszanowania dla takiego poważnego uczucia córki, nie łataliby go tak często przez wzgląd na interes, jak to ma miejsce obecnie, gdy młoda dziewczyna kocha najczęściej miłością, która język francuzki określa malowniczym wyrażeniem: „Folle avoine“. Jest to zawczasie wyrosłe i wykłoszone zboże to jare, zrodzone z posiewu ziarn, które wiatr niósł i rzucał, gdzie przypadkiem padło. Szrony je zważą, bo nie w porę weszło i wybujało pod pierwszym gorącym promieniem słońca.

— „W pierwszej młodości słowa uderzają o wiele silniej, niż idee“, pisze autorka francuzka i dodaje, że wskutek tego, taka książka miernej wartości literackiej, którą czytelnik dojrzały przerzuci tylko, nie przywiązując do niej żadnego znaczenia, może jednak mieć to znaczenie, i wielkie nawet, dla młodzieży. Niech tylko styl będzie żywy, koloryst obrazów gorący, już to wystarczy, aby pociągnąć i zająć, nieraz zachwycić wyobraźnię. Zmysł artystyczny rzadko bywa w tym wieku wykształcony już i delikatny, brak znajomości życia nie daje dostrzedz fałszów psychologicznych, i ztąd ta różnica między gustem

starszych a młodych czytelników. Ztąd powód że młodość rzuca się chciwie do czytania rzeczy lichych, byli silnie do wyobraźni przemawiających i dlatego już szkodliwych, że są zwykle obmyślane na te tylko efekta.

Jeżeli książka, zwracająca się głównie do wyobraźni tylko, stanie się przeważnie czytaniem młodej dziewczyny, wynika ztąd ta szkoda ogromna, że działa na umysł jak te łakocie, które psują smak do zdrowych, posilnych pokarmów prostych, stanowiących jednak o sile i życiu człowieka. Będących tym jędrnym chlebem powszednim, o który ludzie modlą się do Boga w pacierzu codziennym. Równowaga sił musi być utrzymana wszędzie, gdzie ma być osiągnięty rozwój pomyślny; inaczej harmonia rzeczy psuje się i tak być musi, czy w zakresie zdrowia jednostki, czy w wychowaniu narodów, czy w sztuce mistrzów. — Trzeba też równowagi sił umysłowych, aby człowiek przedstawiał rozumną, dobrze rozwiniętą istotę ludzką i skoro tylko jedna władza rozwielmoży się tu kosztem innych, musi nastąpić nieład, połowiczność. Autorka francuzka, stawiając pytanie: dlaczego czytanie romansów bywa wogóle niezdrowem dla kobiet, wtedy nawet, gdy te romanse są najlepszego rodzaju? — odpowiada: że najpierw czytają ich za wiele, powtórę, że czytają je wyłącznie. Ponieważ romans, powieść, działają przeważnie na wyobraźnię, ją głównie karmi, ją głównie zasysa, ztąd siła ta przerasta wszelkie inne: zagłusza rozum, rozwagę, zdolności sądzące, a lotna i zapalna podnosi w istocie kobiecie tę lotność i zapalność, która poważniejsze, głębsze przymioty ducha jeżeli nie zupełnie ruguje, to je niżej spycha i jakgdyby związane, bo nierozwinięte trzyma. Przez przeważne wyrabianie się wyobraźni życie wielu kobiet traci na powadze i dzielności, na rozsądku, nawet przy chęciach najlepszych. To, co często zdaje się być nierozważnem uniesieniem uczucia: ślepym, szalonym, szkodliwym w skutkach jego porywem, bywa najczęściej tylko uniesieniem wyobraźni, rozbijającej i wprawiającej w nerwowość. Nie należy też krzywdzić kobiet uczuciowych, mieszając je z kobietami podniecanymi przez wyobraźnię. Uczucie jest wierne, wytrwałe, mężnie skupione, zdolne ofiarniczo żyć siłą własną od kolebki do grobu, gdy wyobraźnia przeciwnie: błyskotliwa i strzelająca jak iskry fajerwerkowe, choć popycha czasem aż do poniesienia śmierci za to, do czego się w tej chwili namiętnie rozpala, nie umie jednak wytrwać długo w poświęceniu cichem: nie umie być spokojnie silną, pracowitą, przy ukończeniu swoim niezmiennie stojącą.

Wyobraźnia ma jednak niepoślednie znaczenie między władzami umysłu naszego. „La folle du logis“ bywa drugostronnie i czujną gospodynią w domu ducha ludzkiego. Ona to przewidyuje, ona przedstawia sobie przez twórczą siłę malowniczości to, czego nie można dojrzeć zmysłem oko, i na trwogę w dzwon uderza. sygnały daje, zapala tę lampę, której potrzeba, aby drogie kruszcze w kopalni Ludzkości błyszczały, aby występowały barwy przedmiotów — aby istniała owa pocieszycielka Ludzkości, która się zowie sztuką i człowiek miał ideał swój uplastycznionym. Autorka francuzka chce też mówić tylko o zgubnem wygórowaniu wyobraźni, o niewątpliwie zgubnem jej rozwieleniu się, gdy ona jedynie, lub ona przeważnie wyrabianą, rozwijaną będzie, jak to ma miejsce u wielu kobiet. Najłatwiej im to przychodzi i najmniej pracy, trudu kosztuje, bo są już z natury władzą tą obdarowane, na co autorka francuzka zwraca uwagę czytelników. Aby rozum w sobie wykształcić, potrzeba pracować: potrzeba dzień za dniem myśli swojej rozumne zadania stawiać, rozumnie na świat i ludzi patrzeć, pracować w sobie rozwijać władzę, która bada, i władzę, która sądzi. Bez tego żadne podręczniki mądrości, w szkole przewertowane, nic nie pomogą, nie zdadzą się na nic, choćby je poniekąd przez pamięć naszą przeprowadzono. — Trzeba z niemi współpracować, z postulatami ich własnym umysłem się łączyć i zagłębić się w nich, prawdy dociekać. Że wyobraźnia chwytła szybko i łatwo, że do pracy nie zmusza i rozleniwia więc umysł, skoro tylko przeważnie w nim panuje i wtedy już nie

może być mowy o poważnem, głębokiem myśleniu i zapewne w tym sensie powiedział Rochefeucaud, że najwyżej szanuje kobiety uczone, gdyż te pozbyły się najwięcej wad płci swojej.

Więc nadmierne, lub przedwczesne czytanie romansów jest szkodliwe nawet wtedy, gdy żadnych brzydkich obrazów przed umysł nie stawia, a szkodliwe jest i wtedy jeszcze, gdybyśmy wszystkie wyżej wymienione względy na boku zostawili. Odbiera młodej wyobraźni jej świeżość, kwiat niewiadomości, i istota młoda utracą pod względem uczuć, które w sercu jej mają z czasem uderzyć, naturalny ich rozkwit. — „Fait perdre au jeune âme la spontanéité et la sainte ignorance d'elle même“. Jest to więc sprowadzanie dojrzałości sztucznej, jest to pozbawienie młodości tych chwil swobodnych, w naiwnej niewiadomości życia wesołych i spokojnych, których może potrzeba dla prawidłowego rozwoju istoty ludzkiej, niewieściej. Mącąc tę harmonię natury, odbierając życiu jego wiosnę najwładziejniejszą, czy się nie pozbawia młodej duszy i momentu, jakgdy rajskego szczęścia, wraz z wdziękiem słodkim, który na piękniejszy urok młodości stanowi i którego nic nie zastąpi? Gdy żalująca go młodość chce sobie dać go sztucznie, traci więcej jeszcze, a nic już nie zyskuje, bo kłamstwo zawsze jest brzydkim i fałsz nigdy prawdziwie pięknym nie bywa.

Aż dotąd było o czytaniu romansów szlachetnych, które wyobraźni nie brudzą, nie kałają przez obrazy zepsucia i zerwania z obowiązkiem, strącania go w imię namiętności, której siłę się ulega, jakgdyby bezwiednie — w imię szczęścia, którego się nie posiada, a pragnie. Ale co jest rzeczywiste szczęściem dla istoty racjonalnej i uczuciowej — dla pięknego, podnioslejszej natury ducha? Długoby o tem pisać, długoby o tem rozprawiać trzeba, taksamo, jak i zastanawiać się nad zagadnieniem drugim: czy owe nieszczęśliwe heroiny romansów nie pozbawiają się własnowolnie szczęścia serca, szczęścia w słodkiem uczuciu podzielanej miłości złożonego — czy nie sprzedają go za inne nienie, a potem dopiero narzekają na los, i chcą kraść to przez wyłam w obowiązku uczyniony, czego uprzednio wyrzekły się były dobrowolnie? Jest to przecież kwestya z kwestyi powstała; autorka francuzka, za którą idziemy, nie dotyka jej w tem miejscu, kładzie tu tylko nacisk na szkodliwość takiego czytania i dla tych osób, które już sądzą mieć do niego prawo, bo nie są małoletnie i znają życie z jego stron złych i dobrych. Ale wiadomość rzeczy a wpływ wywierany przez obcowanie z nią myśli, przez zaprzętanie nią wyobraźni — to dwie rzeczy różne wcale, więc też czytamy: „Skarb szacowniejszy nawet, niż geniusz — to dusza młoda i czysta, bo spoczywa w niej wielka siła, wielka potęga działania. Atmosfera czysta, w której taka dusza żyje, pozwala jej widzieć jasno rzecz każdą. Złe i fałsz stają się dla tych, którzy wśród niego przebywają, jakoby mgłą gęstą, przyciemniającą bystrość ich wzroku. Śnieżystość duszy! jaka to wyższość nad tymi, którzy już jej nie posiadają, jaka potężna dźwignia moralna!... Czystość myśli daje umysłowi nieobrachowaną żywotność sił: zdolności, których są pozbawieni ci wszyscy, co ją utracili. Tam się kryje tajemnica twórczości a także i szczęścia“.

Dusza młoda i czysta!... Ale czas przecież biegać i życie przetrwać, ścierać się kade z tyłu, z tyłu różnemi rzeczami? Autorka odgadła to zapytanie, cisnące się na myśl wielu z jej czytelników i odpowiada im zaraz: — „Utrzymać młodość duszy pomimo wieku — to rzecz możliwa, ale tylko przez wielki samego siebie szacunek, przez dumę która odpycha uczucia pospolite i nędzne (tout sentiment vulgaire et mesquin) i zabrania sobie wszelkiego niezdrowego czytania“.

Na tem kończy się rzecz stanowiąca właściwie przedmiot dotykający złego, lub dobrego czytania; niemniej przytoczymy jeszcze parę myśli autorki, wykazujących, jak wewnętrzny stan ducha oddziaływa na całą istotę ludzką, jak nawet zewnętrznie zaznacza się na niej i przetwarza ją; jak pośrednictwem tych oznak daje głębi jej duszy przeglądać.

— „Święta Cecylia Dominichina w Luwrze

nie jest piękna: jest to głowa dziecka, które nie wie nic o świecie, nie jak kobieta ma być piękną. Jest cała prostotą, niewinnością, zachwytem. Słyszysz się śpiew harmonijny jej ducha, przez usteczka lekko rozwarłe, oczy toną w przestrzeni bez końca, płynąc na falach muzyki. — To duszyczka biała!“

— „Niedaleko spotyka się postać należącą do tej samej rodziny duchów, pomimo uderzającego kontrastu: to Święty Hieronim Ribeiry. — Ta wielka, koścista, chuda, naga, figura w pustyni nakazuje ci szacunek, lecz dlaczego? Oto, człowiek ów zrozumiał wielkość przeznaczeń ludzkich, i on także słucha harmonii muzyki wewnętrznej. Posiada on prawdziwą ambicję, tę, która wraz z życiem ogarnia wieki. Co dla niego znaczą wielkości ziemskie! O! jakże on gardzi nimi!... Mógłby posiadać władzę; ma geniusz, ale jego wielkość zasadza się na poznaniu tego, że człowiek jest początkiem... punktem wyjścia. Ileż walk zwycięskich odniósł on sam nad sobą, aby umocnić wolę i stworzyć w głębi swojej te harmonie, które go pocieszają i utrzymują wśród pustyni. Czuć się w prawdzie — jest harmonią!“

Marya Ilnicka.

BEZ SERCA.

OBRAZEK Z ŻYCIA.

(Dalszy ciąg).

Gniewne ściągnięcie brwi zarysowało się na wypukłym czole, na widok dwóch wysmukłych cyprysów, smętnie strzelających w górę zpośród mnóstwa nagromadzonych w salonie kwiatów.

— Niezdary — wycedziła cierpko przez zęby — na wesele cyprysy!..

Zadzwoniła na służącą.

— Wynieś to ztąd! — powiedziała z niecierpliwym ruchem ręki, wskazując na posępne drzewa.

— O! gdyby tak łatwo jak te cyprysy, wszystko, co nieprzyjemne, można było usunąć z drogi życia! — myślała pani B... poprawiając zwoje bluszczy, malowniczo czepiającego się koronkowych firanek. Po chwili z wyrazem stanowczej woli, dodała: — Na wszystko jest rada, byle tylko wczas przedsiębrana, a dowodem tego dzisiejsza w moim domu uroczystość.

Wzrok jej padł na dwie jednakowo odrobione poduszki z białego axamitu, przez czas przyzółkłe. Dotknęła się ich kolejno ustami; coś, jak lzy rozrzwienia, przyćmiło jej wzrok.

Były to poduszki szyte jeszcze ręką jej matki. Na nich-to ona przed trzydziestu sześciu laty, kochana i kochająca przykłęka z mocno bijącym sercem, aby odebrać z rąk rodziców błogosławieństwo na drogę życia z wybranym i odtąd iść już z nim nierozdzielnie aż do śmierci.

W błogim spokoju i szczęściu upływały dni i lata; radość i smutek dzielili wspólnie, a żaden dyssonans nie zakłócił nigdy harmonii ich dusz. Trzydzieści sześć lat przeżyli jak jeden pogodny dzień majowy, a wspomnienie tych chwil jasnych rozpoznało zachmurzone przed chwilą czoło; twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

— I ona tak powinna być, jak ja, szczęśliwą! — wymówiła zeicha, kładąc poduszki na dywanie rozesłanym przed małą kozetką. — Będzie — dodała z niezłomną wiarą i mocą, prowadząc monolog dalej — bo pan Adam jest zacnym i rozumnym człowiekiem, a majątek przed nim posiadać dozwoli mu otoczyć ją wygodami, niezbędnie do pełnej wartości życia potrzebnymi; wykwiutym zbytkiem odurzy zmysły i złotym mostem doprowadzi do jedności i zgody wzajemnej.

Z zadowoleniem i radosną dumą spoglądała na salon błyszczący i strojny, na tafle posadzki połyskujące jak lustra, i z rozkoszą napawała się wonią nagromadzonych kwiatów, z pośród których wyróżniały się śnieżno-białe, drobne, a uroczo na słabutkiej gałązce zawisłe, konwalie, — osobno zebrane w kosz z białego marmuru.

— Jak on ją kocha! — mówiła pani B. — ile tu w tem miłości, ile pamięci!... kwiatami ściele drogę szczęściu wschodzącemu dla niego w postaci mojej Zosi.

Dumne kamelie, bogato kwitnące azalie, porostawiane z wdziękiem po narożnych stolikach, dodawały przestworowi życia i świeżości. A tam... za drzwiami u wnijścia, jak tchnienie smutku stały wysmukłe cyprysy, rzucając cień posępny na uśmiechnięty i strojny salon.

Ale pani B. nie widziała tych niefortunnych ozdób sieni i wyszła zadowolona, z twarzą pogodną, bez najlżejszej na czole chmurki. W przejściu spojrziała na zegar.

— Jak już późno! — zawołała. — Tak mało pozostaje czasu do południa, a Zosi głosu jeszcze nie słyszę. Czyżby spała?

Zlekka otworzyła drzwi bocznego pokoju.

Na łóżku osłoniętem niebieską kotarą, jak uśpiona królewna z bajki, spoczywała Zofia B. w pół śnie pogrążona. Klasyczne rysy jej twarzy, wytworne kształty ciała, biała matowa cera, włosy koloru dukatowego złota, spadające na odkrytą pierś, brwi w łuk zagięte z długą ciemną rzęsą, — tworzyły idealnie skończoną całość, mogącą służyć za wzór dla artysty. Cóż rzeczywiście posągowo-pięknego było w całym tem przeszłcznem stworzeniu; pani B. stała w milczeniu i przyglądała się śpiącej w niemym zachwycie; powstrzymując oddech, nie mogła oczu od niej oderwać.

Czy wzrok matki drażniaco oddziaływał na uśpioną, czy senne marzenia niepokoiły jej umysł? bo z piersi wydobył się jęk przytłumiony, a po nim westchnienie ciężkie.

Matka, poruszona tą żalosną a niemą skargą córki, pochyliła się i ucałowała jej białe czoło.

Zofia pod pocałunkiem drgnęła całą; otworzyła szeroko oczy, powiedła wzrokiem dookoła i zatrzymując go na matce, zawołała:

— Jakże mnie przestraszyłaś, mamó! — i wyciągnęła rękę. — Dzień dobry! ale co na mnie widzisz, że się tak wpatrujesz we mnie?

Pani B. wstrząsnęła przecząco głową.

— Siedzisz długo w noc i rozmarzasz się niepotrzebnie; masz oczy podsiniałe.

— Patrzaj — mówiła odsłaniając okno — jaki dzień jasny słoneczny! takim będzie twoje życie z panem Adamem. Przysłał ci na dzień dobry ulubione przez ciebie konwalie; oczekują one twojego uznania. A zapomniałaś, jak widzę — dodała gładząc jej złotowłosą głowę — że to dziś oprócz twojego święta jest dzień dziesiętnasty Marca, dzień imienin twojego ojca. Wstawaj więc, śpioszko, raźnie i wesoło, a ja tymczasem załatwię niektóre jeszcze niewykonane drobnostki i wkrótce do ciebie powrócę.

Zofia, zostawszy sama, oparła głowę o dywan nad łóżkiem wiszący; uliczny turkot przykrem tętnem odbijał się w jej skroni; wesołe głosy rozmawiających dochodziły ją z dalszych pokoi; słyszała śmiechy i ogólną radość: a jej tak było żławo, tak smutno!

Miała za kilka godzin zostać żoną człowieka, cenionego przez siebie, jak dobrego życzliwego przyjaciela, ale nic nadto więcej. Jakże przyjemnie na siebie zobowiązania nieodstępne, wiecznego towarzyszenia mu w doli i niedoli, dzielenia jego życia, jego chleba, jego radości i smutków, bez współudziału serca, — bez oddźwięku duszy?...

— Co ja nieszczęsna pocznę — myślała, zaciskając ręce — z tym szeregiem dni, tygodni, a może lat całych, wlokących się zwolna, wśród pustki i czerzości duchowej!

Białe jej czoło ścigało się pod naciskiem myśli.

— Jeszcze jest czas cofnąć się, jeszcze mogę być wolną!... wszak nie wypowiedziałam jeszcze ostatecznego przy ołtarzu słowa?

I straszliwie kołatało w jej zgnęanej głowie.

A rodzice, matka? Ona, co w związku tym widzi zabezpieczenie mnie od troski i przeciwności losu, dla niej byłby to cios okropny; czy przeżyłaby moje zuchwałe oparcie się jej woli?...

Głowa jej opadła na poduszki, siła przywiązania myśl o spokoju rodziców staczała w niej ostateczną walkę z pragnieniem egoistycznym serca.

Przymknęła oczy; na tle jej zgnęanej wyobraźni odbiła się postać mężka, wyniosła, z ostrym wyrazem twarzy, z wejrzeniem przenikającym do głębi duszy, a tak tęsknem i rzewnem, że z rozpaczą wyciągnęła ręce.

— Ja mam zostać żoną Adama, gdy jego obraz zawsze dzielić nas będzie!... Zawsze, bo struny serc naszych są ze sobą powiązane, jego myśli oplątały mój umysł, jego oczy utkwiły w mojej duszy niezatartem nigdy wspomnieniem!... Żyć one będą we mnie, podążać za mną; gdziekolwiek się zwrócę, na cokolwiek spojrzę, zawsze i we wszystkim widzieć je będę.

— W głowie mi się miesza — powiedziała głośno — niech Bóg mną kieruje i wiedzie: ja bezsilną jestem.

Podniosła się z łóżka, gorączkowo wzięła na siebie ranne ubranie, przetała oczy i skrońnię wodą kolońską.

— Wybiła już stanowczo godzina przeznaczenia. Płonne były wyczekiwania fantastycznych mocy, wyzwolić mnie mogących z zarzuconej na mnie sieci tego człowieka, którego mama tak lubi, tak pragnie za zięcia. Dzisiejszy dzień uprawomocni ich cele. Muszę już pożegnać przeszłości pamiętki, zachowywane do ostatniej możebnej chwili. Bo żona, nie powinna przechowywać dowodnych wspomnień ranić mogących jej męża, jak nie powinna mieć przed nim nic skrytego. A więc do dzieła!... — zawołała z gorzką ironią, przystawiając krzesło do ozdobnego biurka i wysuwając szufladę i zagłębiła w nią wzrok swój z towarzyszącem westchnieniem. Niszczyć te drobne szczątki słonecznych dni mojego życia, by ich kiedykolwiek ręka profana nie dotknęła, szarpie własne serce moje w kawały!... Powinnam być przecież jasną, przejrzystą, do złożenia przysięgi na wiarę i miłość choćby kłamną.

— Jakaż to śmieszna komedia!... Ciekawa jestem, czy wiele tak ludzi odgrywa ją w obliczu Boga, jak ja to mam uczynić wkrótce?!

Ale w tej samej chwili syknęła lekko, jak pod wpływem fizycznego bólu, zacisnęła zęby, wspierając osłabioną głowę na rękę; drugą przerzucała papiery po szufladzie otwartej. Oczy jej spoczyły na kredką robionym portrecie staruszki w czepczku z koroneczkami nad czołem, trzymającej różaniec w ręku. Uśmiechnęła się wdzięcznie do tej twarzy łagodnej, a tak dobrze sobie znanej.

Była to pani Horwart, babka Stefana, mieszkająca w tym samym domu, co i rodzice Zofii. Zachodziła do niej często, żadna jej tkliwej pieśń, ciekawa legend przeszłości barwnie przez staruszkę opowiadanych; tak u jej kolan zasłuchana, zapatrzona na drobne zmarszczki sędziwej twarzy, spędziła niejedną godzinę czasu, a nie sympatyczna coraz więcej zbliżała ten wschód i zachód życia ku sobie.

Zofia знаła Stefana, jedynie tylko z uwielbienia i tęsknot kochającej go tkliwie babki, mającej w nim jedyną na świecie pociechę. Kończył wówczas studia medyczne w Dorpacie i tam ożenił się z młodą, a majątną Finlandką.

Listy babki, przypominające mu osamotnienie i wiek swój późny, więc i śmierć bliską, sprawdziły doktora Horwarta z żoną do Warszawy. Tu, jako znający swoją sztukę lekarz, zaaklimatyzował się wkrótce znajdując uznanie, wziętość, a nawet i sławę. Ale poważny myśliciel, cieszący się powodzeniem w obranym zawodzie, nie zdołał sobie zdobyć w domowym pożyciu z żoną, która była płochą, lekkomyślną bardzo kobietą, że życie obok niej stało się niepodobnem dla męża, umiającego się szanować i dbającego o swój honor. Gdyby nie to, Horwart byłby może zniósł meżnie rozwianie marzeń i nadziei swoich, byłby zamknął w sercu boleść ciężkiego rozczarowania; ale on był zbyt dumnym, aby pozostać meżem kokietki, otoczonej rojem wielbicieli i nastąpiło rozłączenie. Horwart wystąpił z żądaniem rozwodu, gdy nagle inna siła rozwiązała jego związek z lichą kobietą, do której łoża przybiegł przecież w chwili niebezpieczeństwa. Ale nie niepomogła sztuka lekarska; został wdowcem, zanim

stał się rozwodnikiem, i wtedy-to nędzna potwarz rzuciła się na niego.

Zofia podówczas bawiła przy ciotce w Wiedniu, lubując się w cichej atmosferze otoczenia poważnego jej domu, nie myślała o powrocie do rodziców. Kobieta ta niestara, wszechstronnie wykształcona, szanowana przez koło, nie licznych, ale wyborowo wybranych znajomych, była dla Zofii ideałem niewieściej godności i mimo dzielącej ich różnicy wieku, żyły ze sobą w stosunkach ścisłej i serdecznej przyjaźni.

Zofia przy swojej urodzie, wykształceniu, rozumie, była ogólnie wielbioną, nie tylko przez młodzież, składającą hołd jej wdziękowi, ale chłodną swoją postawą tak trzymała ludzi w pewnem od siebie oddaleniu, że niewielu ośmielało się stanąć w szrankach ubiegających się jawnie o względy i rękę tej wyniosłej a marmurowo dumnie wyglądającej panny.

Do tych śmielszych zaliczał się Adam Grodzki, zamożny obywatel ziemski, pan kilku wsi intratnych, niemalej gotówki, przytem rozumny i poważnie myślący; z wytrwałością nieugiętą postępował on w ślad za Zofią, starając się wszelkimi sposobami ująć ją sobie, zjednać i poślubić. Rodzice, jak i ciotka, przemawiali za nim gorąco do Zofii. I w dzień urodzin, w dzień dojścia do pełnoletności, po serdecznych życzeniach rodziny, po toaście wniesionym przez kochaną ciotkę, za zdrowie i pomyślność Zofii, przy melodyjnej muzyce walca Straussa, ona, bez silniejszych wzruszeń, z jednostajnością posagowych rysów matowo bladej twarzy, bez śladu żywego zainteresowania, przyjęła oświadczenie się Adama, spokojnie składając rękę swoją w jego dłoń mężką. Na drobniuchnej rączce kobiecej błysnęła ślubna obrączka.

— Masz ty dla niego głębsze w sercu uczucie? — zapytała raz ciotka w poobiedniej sam na sam pogawędce.

Zofia podniosła na nią oczy śmiejące, odpowiadając wesoło, ale z rozważą:

— Moja cioteczko, pana Adama poważam i szanuję bardzo; jest przystojnym mężczyzną, lubię jego towarzystwo i rozmowę, wyróżniam go spośród wielu innych, dotąd mi znanych!... Zapewne to jest owo „głębsze uczucie“, o którym ciocia mówisz, skoro mam już skończonych lat dwadzieścia jeden i w żywszy sposób nie objawiło się ono we mnie.

Uśmiechnęła się powabnie.

— Tak, ciotuniu droga, albo to jest we mnie wada jakąś organiczną, albo też może wielką zaletą charakteru!...

— Oj, ty zimna filozofko! przyjdzie i na ciebie kreska; uderzy ci serce inaczej, silnie, gwałtownie, oby tylko w porę!...

— Nie, nie, nie obawiaj się, ciotko! Wszak wiesz, że nie tylko obcy, ale nawet rodzona matka mówi, że ja chyba muszę nie mieć serca, — co stwierdza się dowodnie, bo jego uderzeń wcale nie czuję.

W kilka tygodni potem Zofia powracała do domu rodziców, wezwana listem, uwiadamiającym o chorobie brata swojego, Bolesława. Był to tyfus, który rozwinął się u niego bardzo silnie i Zofia, dźwigając zrozpaczoną i na duchu upadłą matkę, z zaparciem się siebie, a rozważą i przytomnością umysłu, nie odstępowała ciężko chorego brata.

Gdy poraz pierwszy spotkała się z doktorem Horwartem, wezwanym przez rodziców do łoża syna, obrzuciła całą jego postać wymownym spojrzeniem ciemnych oczu myślących i po zbadaniu jego powierzchowności, mającej dużo familijnego rysu znanej jej dobrze staruszki, wyciągnęła rękę; jak do dawnego dobrego przyjaciela, pytając dźwięcznym, miłym głosem:

— A babunia kochana co porabia, czy zdrowa?

Stefan Horwart mało miał czasu na studyowanie kobiecych wdzięków; jednak na głos ten tkliwo-pieszczotliwy, również bacznie wpatrzył się w stojącą przed nim w całej pełni rozwiniętej piękności, Zofią, znaną mu również przez babkę. Porównyując idealne jej opisy z tem, co widział przed sobą mimowolnie zatrzymał dłużej drobną rączkę w swojej dłoni i uściśnął ją nawet mocniej, niż na pierwsze widzenie przystało. Rozpatrując

się w sobie wzajemnie, oboje sponowali, oboje wzroku swego wzajemnie wytrzymać nie mogli.

Stefan pierwszy ochłonął z wrażenia silnie go przejmującego.

— Nieskończenie wdzięczny pani jestem za pamięć o babci mojej — rzekł — wielką-by to jej radość sprawiło, gdyby żyła.

Zofii oczy napęły się łzami.

— Nic o tem nie wiedziałam — zawołała — od lat dwóch prawie gościem jestem w domu. Biedna babcia! tak krótko się panem cieszyła, a tak bardzo do pana tęskniła!

I przy tych wspomnieniach o babuni przedłużyła się znacznie wizyta Stefana.

Odtąd zdwoił swoją troskliwość o Bolesława, bywał częściej, dłużej przesiadywał, a i rzeczywiście groźny stan chorego w części tego wymagał. Tętna co minuta stawały się szybszemi. — gorączka się wznosiła, przy kilkakrotnie zbieranej konsultacji lekarzy robili oni słabą nadzieję życia, z końcem zaś piątego tygodnia, stanowczo ją odjęli. Dr Howart już nie jako lekarz, lecz jako przyjaciel domu, ratował chorego, na ile tylko nauka, doświadczenie i siły na to pozwalały, przygotowując rodziców i Zofię do możebnej katastrofy.

— Więc noc dzisiejsza jest ciężką do przebycia? — zapytała Zofia odchodzącego nad wieczorem Stefana.

— Tak — odpowiedział krótko, ale smutnym głosem.

— Wszak będziesz pan tu z nami? — dodała z uspakajającą dla siebie samej ufnością.

— Tak — powtórzył znowu — możesz pani liczyć na mnie — wróć i będę obecny w chwili stanowczej; — nie dodał: w chwili uchodzącego życia twojego brata... ale Zofia go odgadła i pobladła straszliwie, wspierając się z niemocą o ramę drzwi, w których stała.

Stefan wstrząsnął się cały, czując wymownie, jak mu jest drogą ta słiczna wiotka postać, skłaniająca się pod ciężarem smutku; ale w poszanowaniu jej bolesnych uczuć nie zdradził żadnem spojrzeniem swego uwielbienia i dodał tylko drżącym nieco a błagalnym głosem:

— Odwagi, droga pani!... przesilenie, którego się obawiamy, szczęśliwie przejść jeszcze może, a moc i siła twoja potrzebną tu jest zarówno choremu, jak nam wszystkim.

W słowach i twarzy jego było tyle powagi uspakajającej, że do duszy Zofii wniknął promień nadziei.

Pod wieczór Zofia, używając wszelkich środków, skłoniła rodziców do spoczynku, a sama powróciła czuwać nad zaledwo już tlejącem życiem brata.

Przyciemiona lampa słabo oświetlała pokój; a ona sama jedna stała nieporuszenie, śledząc bacznie gorączkowo rzucającego się biedaka.

Około północy z cicha drzwi się otworzyły i zwolna wszedł dr Stefan. Nie zbliżył się nawet do Zofii, zdawał się nie wiedzieć o jej obecności i wprost skierował się do łóżka chorego; usiadł tuż przy nim z wytężeniem i badał najlżejsze jego drgnięcie. Chory westchnął ciężko: siedzący przy nim, dotknął się ręką jego czoła; wymownym gestem wolnej drugiej ręki, nakazując milczenie.

Zofia powstrzymując oddech, cicho jak cień podsunęła się do okna, wzrokiem i myślą zwróciła się ku nieba błękitom, widniejącym wśród jasnej księżycowej nocy i w ekstazie duchowej złożyła ręce do modlitwy w zwątpieniu ostatniem, czepiając się Boga, jak jedyne szczęście ratunku.

A doktor Stefan w niezmięnionej postawie, z ręką złożoną na czole jej brata — już siłą ostatkiem wyłamującego się śmierci — przesiedział tak przeszło godzinę.

Nareszcie uniósł się, pochylił nad leżącym i długo nasłuchiwał. Cofnął się od łóżka, a Zofia nie słyszała, jak się do niej zbliżył i przez drzwi otwarte do drugiego pokoju łagodnie pociągnął. Ścisnął jej obie ręce w swoich dłoniach, a ona cierpła całą w najwyższym niepokoju, co od niego usłyszy.

— Usnął... żyć będzie — szeptem wymówił.

Zofia za otrzymaną wiadomość w niemej wdzię-

czności osunęła mu się do kolan, a tłumione łkanie wstrząsnęło nią silnie. Stefan, w obawie o chorego — by go płaczem nie zbudziła ze snu, z mężką siłą, uniósł pochyloną, wiodąc w najodleglejszy zakątek pokoju.

Ale gdy już wypłynął strumień łez, przez rzewne roztkliwienie sprowadzony, i błogi uśmiech ukojenia zakwitnął na ustach, ręce ich spłotły się w uścisk tak serdeczny, że noc ta, decydująca o życiu fizycznym jednej istoty, zdecydowała wyraźnie i o duchowym życiu dwóch innych jeszcze istot.

Kilka następnych dni spowodowało znaczne polepszenie w zdrowiu Bolesława, a z palca Zofii zniknął zaręczynowy pierścionek. Pani B... kobieta, niebawiacca się w zagadki psychologiczne, pytała: jaką cudowną mocą Zofia wygląda tak wspaniale po tylu źle przespanych nocach! I dumna z córki, podziwiała jej zdrowie silne — urodę świeżą, ruchy elastyczne, niczem niezdradzające znużenia.

Adam Grodzki, zajęty urządzaniem domu dla przyszłej małżonki, dłużej nad dni kilka nie bawił w Warszawie, a Zofia tak była promienną, wesołą, rozmowną, jak nigdy.

— Buduj pan mocną klatkę! — rzekła raz do Adama tonem zupełnie swobodnej wesołości. — Ale pytanie: jak mnie pochwycisz, bo ja dobrowolnie w nią nie wejść.

Słowo jej wzięto za żart; nikt nie przywiązywał szczególnej wagi do wyrazów, jakgdyby z niechęcenia rzuconych. Rodzice mniej niż ktokolwiek, poznali się na tem niezwykłym usposobieniu Zofii, zawsze świadomej swoich uczuć i czynności, zawsze chłodno rozważnej; a miano raz utrzymane „bez serca“ zabezpieczało ją od przypuszczeń o uczuciowem idealizowaniu życia i skłonności do uniesień sercowych.

A ona z naturą tkliwą i poetyczną, ale opancerzoną przez iście królewską dumę, niemającą na poziomach niskich a ludzkich słabostek — długo nie znajdując pobratymczego oddźwięku w sobie równej i rozumieć ją mogącej duszy — rysowała się w życiu, jak piękny a nieożywiony posąg.

Dr Stefan Horwart przedstawiany jej przez babkę w najładniejszych światłach i barwach posiadanego charakteru, swoją smętną a poważną twarzą uzupełnił korzystnie cień rzucony na tło świetne jej wyobraźni. Zarówno umysł podniosły, w zakresie działalności lekarskiej odznaczający się wybitnie, jak troskliwa opieka o życie jej brata, zjednały mu ją, podbiły, zbudziły w niej serce dotychczas uspione.

Miłość wybuchała w tem sercu z nawalną siłą. Pokochała go, nie częścią swą duszy, ale całą duszą, myślą, wyobraźnią — całym swoim jestestwem!... Zarówno idealnie jak zmysłowo, był on jedynym punktem, ku któremu się zwracała. Stał się dla niej słońcem, powietrzem, pokarmem, istotą konieczną do jej życia, do każdego technienia, do bytu!

— Ach! — mówiła z niezmiernym urokiem, cisnąc jego rękę do lewego boku — jak moje serce bije mocno przy tobie!..

I płonąć delikatnym rumieńcem dodawała:

— Tylko dla ciebie!

— A Adam?...!

Zofia już głośno i wyraźnie wołała:

— Nie, nie — nie będę żoną tego człowieka, którego nie kocham...

Pan Adam znakomity znawca sere ludzkich, dawniej już zgłębił do gruntu groźące mu niebezpieczeństwo, ale zręczny dyplomata nie zwalnając Zofii z danego mu słowa, nie cofając się z widowni, a pozornie głaszcząc osobiste cele, przybrał się w szatę życzliwej przyjaźni; zawsze gotów na skinienie, bądź Zofii, bądź też jej rodziców.

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Jakkolwiek od kilku już tygodni ożywia się muzykalny światek Warszawy, — wyznać musimy, że do tej pory nie mieliśmy dość obfitego i świeżego materiału do pogawędki z naszymi czytelnikami, już to, że na estradach: koncertowej czy teatralnej, występowały osobistości dobrze im znane, już to, że dzieła muzyczne które mieliśmy sposobność słyszeć, nie miały interessu nowości, któraby domagała się sądu i głębszego zastanowienia. — Z minionych koncertów Towarzystwa Muzycznego da się zaznaczyć głównie to: że jego działalność podtrzymują siły miejscowe, tak artystyczne wyborowe — jako też amatorskie, dość rozwinięte by świadczyć o prawdziwym zamiłowaniu do sztuki. Występy pp. Fryderycy, Flamm, Pinkertówny, wykazały owoce dobrych studyów, przechodzące zakres zwykłego amatorskiego dyletantyzmu. Z artystów pan Frieman, sprawił niespodziankę publiczności, która oddawna nie słyszała jego pięknej, skończonej gry, — a z młodzieńczych talentów, produkowali się: pp. Taube (skrzypek), Śliwiński i Bobiński (fortepianiści). Pierwszy ma dużą technikę — śpiewność i uczucie swego znakomitego nauczyciela, Władysława Górskiego; — drugi, posiada mechanizm także rozwinięty, frazowanie jasne, brak tylko jeszcze piętna indywidualności; — ostatni, przy technice, która może się stać nawet potężną, niepospolitą, razi pewnym chłodem i sztywnością, zwłaszcza w traktowaniu romantycznej muzyki Szopena, którą przeważnie jednak studyuje.

Z dalszych stron, mieliśmy tylko lwowskich śpiewaków, członków towarzystwa „Lutnia“ miłych gości, którzy po swych doskonale wykonywanych kwartetach, pozostawili wrażenia piękną — i zazdrości — i żalu, że w nas nic podobnego zespolic się i wyrobić nie da. Mieliśmy przez lat kilkanaście błogą illuzję co do możliwości sformowania dobrego kwartetu amatorskiego, lecz o zwykłą naszą charakterystyczną niewytrwałość rozbijała się wszelka usilna praca.

Powracamy jeszcze do Towarzystwa Muzycznego, by nadmienić, że takowe nie zasypia swej działalności, ogłaszając konkursy, nader pożyteczne do obudzenia większego ruchu kompozytorskiego w naszym kraju. Jeden z takich konkursów odbył się obecnie, na utwory chóralne, mieszane, bez akompaniamentu. Otóż z czternastu nadesłanych dzieł, dwa zasłużyły na odznaczenie. Druga nagroda przyznana została p. Biernackiemu za piękny chór pod tytułem: „Pieśń wiosenna“; — trzecią otrzymał p. Antoni Rutkowski za nader wdzięczny utwór: „Wieczór letni“. Pierwsza nagroda tym razem, nie dostała się nikomu. Nagrodzone dzieła będą wykonane w Towarzystwie Muzyczne.

Pierwszy koncert symfoniczny w Teatrze, jako hasło do szerszych artystycznych zapasów, rozpoczął się nad wyraz wszelki ożywczo i podniecająco ducha — słiczną uwerturą Żelńskiego „w Tatrach“. Słuchało się ze wzruszeniem tego dzieła, które przynosi ze sobą oddech świeży owych ukochanych gór, — odgłos fujarki odzywającej się po ich halach. Dzieło to, urodzone z natężenia, urajskie, a na wskroś oryginalne, bez sztucznych wysiłków i naprężeń, — bogatą instrumentacją odtwarza w głębi duszy słuchacza plastyczne niemal obrazy.

Drugim numerem programatu była: „Fantazyja szkocka“ Maxa Brucha, solo skrzypce z towarzyszeniem orkiestry. Odegrał ją świetnie Barcewicz. Szczególniej interessująco przedstawiła się jej część druga, gdzie w rytmie na trzy czwarte, w który są ujęte wszystkie masy głosowe, pojawiają się frazy parzyste, prowadzone zupełnie niezależnie przez głos solowy. Charakter kompozycji trochę dziki, doskonale pojął wirtuoz, dając swej grze odcień odpowiedni. Zadanie było niełatwe, gdyż autor nie oszczędzał partyi solowej, każąc jej wykonywać figuracje niezręczne

i w tonacjach niewygodnych dla skrzypców—co złożyło się na całość arcytrudną i męczącą.

Dalej usłyszeliśmy wstęp do „Meistersingerów” Wagnera. Tutaj musimy powiedzieć, że dzieło to, gdyby nie miało ojcem genialnego autora, lecz mniej znane nazwisko było odpowiedzialnym za nie, niezawodnie krytyka byłaby powszechnie surowszą, nieubłaganie surową. Spróbujemy jednak, odważnie, wyrazić nasze zdanie, jakgdyby nie było nam wiadomem, kto pisał to dzieło. Otóż, ogólne wrażenie, jakie otrzymaliśmy słuchając je, było przygnębiające. Chaos brzmień bez związku, prawie w ciągłym forte trzymany, bez okresów, bez części tematycznych, z wrzaskiem trąb i huraganem smyczków, składa się na przeprowadzenie ruchliwej myśli, depczących się, następujących jedna na drugą, bez początku i końca. Słowem, słuchając tylko, nie można zdać sobie sprawy, co to jest, lecz trzeba studiować partyturę, by cokolwiek zrozumieć, wylawiając pojedyncze myśli wśród tej burzy głosów. Dzieło to, według naszego przekonania wychodzi ponieważ z granic piękna; maniera uniosła zadaleko autora.

Najciekawszem dla nas było wykonanie symfonii, a raczej Suty Goldmarka „Wesele wiejskie” pierwszy raz granej przez naszą orkiestrę. Składa się ona, z pięciu części, wiążących się ze sobą myślą przewodnią. Jest to kompozycja wdzięczna, świeża w pomysłach, pięknie instrumentowana, dowcipna, lecz nie sięgająca po nowe zdobycze w idealach sztuki. Prostota, z umysłu podkreślona w tematach, nie powinna była chwilami czynić ją trywialną, co miało miejsce w kilku wariacjach części pierwszej. W następnych zaś, przy wielu zaletach, zauważyliśmy, brak formy symfonicznej w charakterystyce. Najpiękniejszem jest Andante w (ogrodzie), gdzie szeroki śpiew, misterne opracowanie instrumentacyjne i harmoniczne składają się na całość bardzo sympatyczną. Intermezzo (pieśń narzeczonych) również zaliczamy do udatniejszych numerów. Najślabszą częścią jest Scherzo (serenada)? Finale (taniec) mieści kilka oryginalnych efektów harmonicznych, które dziwią słuchacza, jako nieprzewidziane i niewytłomaczone, są jednak nowościami, a to już pono dosyć, względnie do pojęć tegoczesnych. Wiele tu obrazem jest przypomnienie oddźwięków z romantycznego andante, wśród pełnej werwy rytmiki tanecznej.

Orkiestra pod przewodnictwem wytrawnego dyryganta, jakim jest p. Rzebiczek, wywiązywała się gorliwie i z przejęciem z bardzo pracowitego zadania.

W ostatnich czasach, niewiele pojawiło się nowych dzieł naszych kompozytorów. Z tej małej liczby wymienimy następujące: Piotra Maszyńskiego, opus czwarty: „Trzy sztuki liryczne.” Dwie pierwsze szczególnie przedstawiają się udatniej. Niepretensjonalna forma, wdzięczna temata, oraz staranne, a niezawile opracowanie, główną stanowią ich zaletę. Maurycego Moszkowskiego op. 35. Cztery sztuki na fortepian (Caprice mélancolique, Moment musical, Pièce drôlatique, Impromptu). Sztuki te nie roszczą prawa do wejścia w repertuar wirtuozów, gdyż nie dają im pola popisu z techniką, lub interpretacją głębszej myśli, śmiało jednak zajmują miejsce w reczce amatorskiej, lub też uczącej się młodzieży. Pisane dobrze, w szlachetnym stylu, i z uwzględnieniem figuracji fortepianowych, z korzyścią i z przyjemnością mogą być przez nich grane. Henryka Kowalskiego op. 70 (kermesse Bretonne), jako sztuka charakterystyczna, osnuta widocznie na temacie ludowym, nie jest bez wartości, co do opracowania; jest ono dość efektowne i mile.

Kończąc te kilka wzmianek o nowszych kompozycjach fortepianowych, przyrzekamy naszym czytelnikom, uzupełnienie ich w przyszłym sprawozdaniu wiadomością o muzyce wokalne, z której prawdopodobnie więcej się do zanotowania znajdzie.

Juliusz Stattler.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, d. 3 Listopada 1885 r.

Wybory we Francji. — Powodzenie Zachowawców. — Niespodzianka i niepewność. — Nowe kawiarnie i restauracje. — Dziwaczne reklamy. — Opactwo Thélème i kotlety z rusztu. — Kraszewski i uwolnienie z więzienia za kaucją. — Zamach przeciw p. Freycinetowi, mini-trowi spraw zagranicznych. — Tajemniczy powód tego zamachu. — Kwestya kobiet lekarzek, w teatrze i w rzeczywistości. — Śmierć /nakomitej artystki-malarki, pani O'Connel.

Słotna, zimna jesień, wybory i polityka, robiły z Paryża nie dopoznania nudne miasteczko. Tegoroczny Październik odznaczył się nudami pustkowiem i cierpkością niesłychaną. W którą się stronę zwrócisz, wszędzie skwierki i użalenia tylko. Giełda nawet nie ma tego blasku, jakim świeciła dawniej, czy-to w złej, czy w dobrej doli. Kurs spadły i ledwie już pełzają. Cudzoziemców z ową tradycyjną kieszenią nabitą przekazami do tutejszych bankierów, jakby na lekarstwo; swoich liczą się z groszem. W teatrach stare, odgrzywane przysmaki. W księgarniach miernota. Jednym słowem: miseryja.

Wybory przecież, generalne wybory do Izby deputowanych, odbyły się spokojniej, niż zwykle. i to rzecz dziwna, pomimo całej zaciekłości, z jaką rozmaite stronnictwa starały się pożar rozpalic, zachęcając do walki. Kraj stosunkowo zachował się spokojnie. Tam, gdzie niezmiernie a lekkomyślne wydatki ostatnich lat, zwiększenie podatków, strata tylu ludzi, w wyprawach na dalekim Wschodzie, głębiej do umysłów, bądź bezpośrednio, bądź zapomocą agitacji *ad hoc*, przemówiły, zaraz i listy wyborcze, opozycyjne, przeważiły na szali. Ale tego prądu zachowawczego nie należy uważać za prąd monarchiczny. Po większej części ludzą się ci, którzy w głosowaniu z d. 4 z m., widzą powrót do tego, co było przed rzeczpospolitą bądź obecną, bądź dawniejszą z r. 1848. Najprawdopodobniej ta przewaga głosów zachowawczych miała w rozumieniu większej części wyborców znaczyć chęć powrotu do polityki pokoju, a przynajmniej wyrzeczenia się kosztownych, a bezowocnych wypraw na odległych krańcach świata; oszczędności co do szafunku, publicznego skarbu; przywrócenie tolerancji religijnej — i wogólności politykę spokoju i umiarkowania.

Na trzy dziś obozy rozpadło się ciało wyborcze we Francji. Zachowawcy, do których należą, i jawni monarchiści, i bardzo głośno hałasujący bonapartyści i stronnicy sprawy świętej, wogóle są najliczniejsi. Po nich idą skrajni republikanie, pomieszani z anarchistami, a nakoniec republikanie oportunisty. Jaki będzie wypadek tego podziału przy pierwszych rozprawach w Izbie—trudno jest odgadnąć. To tylko pewna, że jeśli monarchiści zachowawcami nazywający się niewinnie, potrafią skorzystać rozumnie i trzeźwo z zajętego stanowiska, to wypadłoby się przygotować na wypadki, które przed wyborami całkiem jeszcze były niespodziewaniami.

Dodać tu potrzeba jeszcze, że niema kraju na świecie całym, gdzieby potrzeba publicznego hałasu żywiej uczuwać się dawała. Wszystko tu muszą zużyć do ostatniej nitki. Weźmy tu na przykład kawiarnie, których tu są tysiące—czas jakiś przesadzano się, kto je bardziej ozłoci i osrebrzy. Pamiętny jest dotąd, tak zwany: „Dom złocony” (La maison dorée) na Bulwarach Przyszła potem moda na szynkownie piwa; urządzone zniemiecka; dalej na szynkownie obsługiwane przez dziewczęta. Nastąpiła później epoka artystycznych restauracji, na średniowieczne austerye z urządzeniem i umeblowaniem na wzór owych czasów; dalej wystąpił jakiś pół-literat i pół-malarz ze swą restauracją pod „Czarnym Kotem”, gdzie się zbierali wyłącznie artyści i literaci młodzi — i gdzie usługa ubrana w akademickie mundury — (bo tu członkowie Instytutu, mają swój wyłączny uniform) — służyła za żywy paszkwil. Znalazł się

konkurent, który chciał zrobić lepiej i dosadniej. Urządził więc swój szynk według więzienia galerników, gdzie galernicy w najdokładniejszym stroju usługują publiczności; a powiadają nawet, że dla prawdziwości kolorytu lokalnego, są pomiędzy nimi, prawdziwi galernicy — ma się rozumieć: wypuszczeni na wolność. Nakoniec chcieli pójść dalej jeszcze i zaprojektowali taką kawiarnię, gdzie usługa miała się składać z mnichów i mniszek, w habitach formalnych. Ale tu już policja wyrzekła: hola!..

Co do owej restauracji obsługiwanej przez kobiety, to nazwę swoją przypomina ona słynne opactwo de Thélème, którego opatem był Rabelais. Założyciel jej i fundator, w liście ogłoszonym dziś w dziennikach, zaprotestował solennie, jakoby w tym zakładzie usługa miała być przyodzianą w habity mnisze — jakoby szanowny gospodarz w szatach arcybiskupich miał przyjmować swych gości naczele służących w habitach Sióstr Miłosierdzia. Jakkolwiek protestacyja p. *Hoschade* — (tak się zowie przedsiębiorca opactwa Thélème, przy placu i ulicy Pigale) — ma swoje znaczenie, nie zdaje się jednak, aby to, co rozpowiadały dzienniki, było wyssane z palca. Pokazuje się bowiem, że była o tem mowa na Radzie Ministrów, poczem p. Minister Spraw Wewnętrznych uwiadomił prefekta policji, i Prokuratora generalnego, którzy zredagowali depeszę ogłoszoną przez Agencją Havasa, — iż takiego rodzaju zakład tolerowanym nie będzie. P. *Hoschade* zaprzecza dziś temu, aby kiedykolwiek o czemś podobnem myślał. Tem lepiej.

W chwili, kiedy to piszę, odbieram dwie wieści, z których pierwsza tak mnie żywo przejmuje radością, że zdziwiony i wzruszony, — ledwie uwierzyć jej mogę, i gdyby nie własnoręczny list, który mi ją potwierdza, nigdybym jej nie uwierzył.

Wiecie już zapewne, że nasz biedny więzien z Magdeburga otrzymał częściowe złagodzenie niewoli. Pozwolono mu, ze względu na groźny stan zdrowia odjechać do Włoch do 15 przyszłego Maja, po złożeniu jednak kaucyi 20,000 marek!

Na jak wątłej pajęczej nici stoi to nasze życie, pokazuje druga odebrana prawie współcześnie wiadomość. Telegraf przyniósł nam już wieść o zamachu na życie p. Freycinet'a, Ministra Spraw Zagranicznych we Francji. Jest to jakby nasładowanie tego, co się stało niedawno w Kopenhadze. Tylko, że niema wcale żadnego porównania pomiędzy dwiema osobistościami ministeryalnymi — ani co do ich sytuacji i charakteru, ani co do ich znaczenia. Dotąd, niewiadomo jeszcze, kto jest rzeczywiście ten człowiek, który strzelił z rewolweru do ministra — bo wzbrania się tłomaczyć i zeznać jakie miał pobudki w zamachu. P. Freycinet, jest-to człowiek spokojnego, regularzycia. Urząd wysoki, jaki dziś piastuje, nie ma żadnych drażliwych stosunków z publicznością; słabego zdrowia Fr., niechętnie wychodzi z domowego zacisza, i z domowego kółka, które się redukuje do żony i córki niezamężnej. Nie widać więc w tem wszystkiem żadnego powodu do tak ważnego zamachu na życie ministra; jest chyba skutek jakiej osobistej urazy.

Sprawca wygląda na jakiegoś wyrobnika albo urzędnika niższej klasy; powiadają, że jest Korsykanin — wszystko to, jak również wykonanie samego zamachu, zdaje się wskazywać niepełność rozum. P. Freycinet wracał do ministeryum po skończonej naradzie u Prezesa Rady Ministrów; wjeżdżał właśnie na most zgody, który z placu tegoż nazwiska prowadzi do gmachu Izby Deputowanych. Wskutek robót około bruku na tym placu powóz posuwał się zwolna. W tej-to chwili Mattei; (domysla się, że takie jest jego nazwisko), miał wystrzelić z rewolweru, ale kula przeszła obok powozu, choć parę zaledwie kroków dzieliło go od zbrojcy — i ani Minister, ani powożący niepostrzegli nawet ani człowieka, ani strzału. Przechodzący obok w tej chwili dwaj officerowie rzucili się na obwinionego; ale ten szybkim ruchem, wyrwawszy się z rąk tych panów, rzucił rewolwer do rzeki, poczem bez żadnego oporu dał się zaprowadzić do kommissarza policji, gdzie zeznał: że strzelił do ministra, ale wszelkich innych ex-

plikacy odmówił, i dotąd trwa w tem postanowieniu, twierdząc, że dopiero po rozmowie ze swym adwokatem zobaczy, co będzie miał do powiedzenia. Tak stoją więc rzeczy. P. Freycinet nie zna go i nigdy nie widział—a policja nie mogła jeszcze wyświecić ani jego pochodzenia, ani powodu do zbrodni.

(Dokończenie nastąpi).

JULIUSZ BASTIEN-LEPAGE.

(Dokończenie).

Joanna d'Arc była dla Juliusza Bastien jako-by mytem Francyi—jej duszą silną, czystą, piękną, tkwiącą w łonie narodu, która ujawnia się i powstaje do heroicznego czynu, gdy uderzona iskrą zapalu wzrusza się, i pod wzruszenia tego siłą dochodzi nagle do samopoznania siebie. W ludzkie wiejskim zachowała się ona w pierwotnej swej, niezmaczonej piękności: wytrwała, cicha, pracowita, węzłem rodzimej poezyi związana z naturą krajiny swojej, dlatego też mistrz chciał malować ten obraz całkowicie na wsi, wśród tej natury i ludu, którego geniusz przedstawiała bohatera dziewczica z Domremy. W sadku wiejskim, rozciągającym się za rodzinną jej chatą, słyszy ona cudowne głosy „des bénoits saints et saintes“, nakazujące jej iść na ratunek Francyi, i ona zgadza się na to. Pójdzie... opuści dom wieś rodzinną: stanie się rycerką z ramienia Bożego! Bastien, obierając za przedmiot obrazu swego tę chwilę, musiał odziać bohaterkę w proste suknie wiejskiej dziewczyny: sznurowany gorset blado-niebieski i krótką brązową spódnicekę wełnianą, domowego tkania. Sad rodzicielskiego domu służył malarzowi za wzór tła, modelem na Joannę była dziewczyna z Damvillers, dla której żywił w sercu uczucie tkliwe, i która byłaby niewątpliwie została jego żoną, gdyby nie smutne rozwiązanie dramatu jego życia. Pisał do przyjaciela z uczuciem uwielbienia, że znalazł sobie Joannę, której twarz szlachetna może wyrażać uczucia heroiczne, nie tracąc „nawet wrodzonego wdzięku wieśniaczki.“ „L'attitude est aussi très douce“ dodaje, nie opisując szczegółowo tej znalezionej Joanny swojej.—„J'aime mieux te laisser le plaisir de la surprise“ zakończył, widocznie bardzo szczęśliwy i pełen uroczych marzeń o przyszłości, które przecież nie spełniły się w całości. Obraz, wystawiony w Paryżu w 1880 r., zwrócił uwagę wszystkich; dzienniki wszelkich odcieni zajmowały się nim zarówno; ale podzielono się na dwa obozy: gorących wielbicieli i namiętnych nieprzyjaciół. Artysta, chcąc dobitnie objasnić moment, w którym znajduje się Joanna, uzmysłowił przemawiające do niej głosy i umieścił poza drzewami trzy postacie, a raczej trzy cienie postaci „des bénoits saints et saintes“, i na to uderzyła krytyka, że jest to naiwna maniera średniowieczna, że oblicze Joanny powinno wszystko wypowiedzieć, i wielki medal honorowy, o którym marzył Juliusz, nie dostał mu się. Otrzymał go ktoś inny za obraz, ani tak oryginalny i podniosły, ani tak malowany, i niesprawiedliwość była krzycząca. Juliusz uczuł to, ale tak, jak odczuwają takie rzeczy podobne mu dusze wyższe, artyści prawdziwi: „Tworzyłem to dla mojego narodu, dla Francyi, i Francya ma, com jej dać pragnął—to dla mnie dość...“ rzekł głośno, wśród licznie zebranych artystów, przy zamknięciu wystawy i rozdawnictwie nagród, i rzeczywiście uczynił zaraz z obrazu swojego dar dla narodu. Zarumieniło się w tej chwili niejedno oblicze jego współzawodników, bo, obliczając już tylko na zysk, był to dar iście królewski i mało kto zdobyłby się na taką ofiarę.

Ale on to mógł, on, który pozostał w prostocie obyczajów młodsze chłopskim synem i czuł się najszcześliwszym w domu matki właścianki. Nazywano go też w Paryżu szydlerzo: *Le primitif*, a i teraz postępek jego odcinał się silnie od obyczajów epoki, łaknącej przedewszystkiem złota,

które dawało używanie. Złota tego miał on przecież zadosyć i ogromne pod tym względem powodzenie jego sprawadzało mu głównie zazdrośnych.

Ale był to dowód, że ten *wielki człowiek*, jak lud podlaski nazywa gromadę, to jest publiczność—który jest zawsze sprawiedliwym, bo podnosi się pod nad sądy koteryi i interessu, uznawał w nim wielkiego artystę. Bastien zaraz po niesprawiedliwym sądzie wyjechał do Anglii, dla malowania zamówionych portretów, i przebywał tam rok, zajęty pracowicie, otoczony wielką sympatją, spotykający ciągle dowody uznania. Wczytywał się w Byrona, w Shakespeare'a, wrócił też do kraju ze szkicem nowej kreacji do której natchnął go wielki poeta Anglii: Ofelia zstępująca bezwiednie do wody. Skończyła tylko co pieśń o wierzbie i zpod niej schodzi ku śmierci spokojnie, łagodnie, ze śladem łez na oczach, ze słodkim uśmiechem na ustach. Bastien był tak silnie zajęty myślą o tem dziele nowem, że niemal tylko przejechał przez Paryż, który—jak pisał do Theuriet'a,—byłby mu zepsuł wrażeniem swoim noszony w wyobraźni ideał „si virginal, et si humain.“

Z listów pisywanych przez Juliusza Bastien do Theuriet'a, do Karola Baude, do brata, myślący czytelnik potrafi sobie odbudować jego pierwotny duchowego piękna kobiety. Zawsze gdy marzy o szlachetnej kobiecości, gdy jej ideał sobie tworzy, musi on być jeżeli nie „virginal“ to „chaste“. I wierzy takiemu pojęciu piękna w istocie niewieściej, nigdy i nigdzie, nawet w grupach, pędził jego nie oddał inaczej kobiety. Kochał swoją matkę siwą, i dlatego umiał odczuć i oddać ten wdzięk łagodny, który może otaczać sędziwość; jest też na jego obrazach kilka przepięknych staruszek, ale i o tych powiedzieć trzeba—pisze Theuriet—że są czyste, że są wstydlive; że są „chastes“, jak języki romańskie oddają wybornie oba te przymioty dostojnej kobiecości w wyrazie jednym.

Ofelia nie została skończoną. Krajobraz nad wodny, bardzo piękny, jest wykonany zupełnie, ale od postaci Ofelii pędził jakgdyby cofnął się w połowie. Było w niej zawiele podobieństwa do Joanny d'Arc, i dlatego może artysta chciał zacząć na chwilę, w której przyszłoby mu inne natchnienie piękności, lecz, niestety! zabrakło na to czasu. W 1883 r. miasto Paryż wezwało go, aby odmalował żałobny kondukt Gambetty i jego samego na łożu śmierci. Była pomiędzy artystą a zmarłym nie jedna silnie wiążąca duchy: obaj kochali Francję miłością najwyższą, i Bastien oddał się temu dziełu z zapalem—zabójczym, niestety! Ciemny, mroczny był dzień pogrzebu; chłód panował w nieopalanym pokoju, gdzie dyktator Francyi umierał, a gdzie on dla naszkicowania obrazu swego przebywał dni ośm i zkad wrócił z kaszlem. Zaziębił się, nadwyreżone piersi zabolaly, i zarazem reumatyzmy nabyte w obozie podczas ciężkiej zimy *Sraszego Roku* odczuwały się. Uczuł się słabym, zmęczonym, i jak zawsze, gdy mu coś dolegało, gdy pragnął skupienia się, czy doskonałego spokoju, wrócił na wieś do matki. I zdawało się, że ozdrowieje tam, jak niegdyś: że chore piersi ulecą się oddychając czystym powietrzem rodzinnej wioski, ale nie... już tym razem tak być nie miało. Słaby, porzucił robotę urzędową, ta wdzięczna jego dziewczyna, która dała mu Joannę „chaste et douce“, której rysy gwałtem mu się cisnęły pod pędzel, gdy malował Ofelię, może wywierała teraz na biedaka taki urok, że pragnął żyć w jego kole czarodziejskiem, i odbiegłszy od tamtego posępnego, smutnego przedmiotu, zaczął malować miłszy mu, wdzięczniejszy: *Miłość na wsi*. Jest tu znowu sad wiejski, w bogatej zieloności lata; mrok się robi, młody chłopak, który tylko, co kosił trawę po tamtej stronie płotu, podsunawszy się teraz do niego, rozmawia z dziewczyną, stojącą w ogrodzie. Twarzy jej nie widać; lekko podana naprzód, pokazuje w tem przegięciu wdzięcznem ładną szyjkę młodą i dwa grube, krótkie warkocze, spadające na ramiona. Na nieszczęście artysta malował drzewa i płotek bardzo wczesną wiosną. Zdradliwe były promienie słońca, które go tam zwabiały i choroba posunęła się bardzo.

Nim to zaznaczyło się poważnie, przyjaciele przybyli do niego w odwiedzinach i spędzono ośm dni czasu bardzo wesoło. Zimna wróciła nagle; wiatr marcowy bił w okna drobnym, ostrym gradem, ale ciepło było u komina bawialnej izby, która służyła razem za salon, jadalnię, a od niedawna dopiero przestała być i sypialnią rodziny: ciepło tu było, wesoło. Po kolacyi goście z Paryża obsiadali wraz z gospodarzami duży stół okrągły i grano w *Dyabellka*, w *Złotego Karta*; Juliusz tak zawsze zrzucał się nieszczęśliwie, tak źle oddawał swoje święte karty, że dziadek zawsze wygrywał, i cieszył się, tryumfował, klepał wnuka po ramieniu, monitując go niemniej, że źle gra, ucząc go reguł, których należało się trzymać.

W dzień, gdy południowe słońce ogrzało świat, Juliusz wyprowadzał przyjaciół w pole, pokazując im grunta, które dokupił do folwarku rodzinnego. Theuriet pisze, że miał on namiętną miłość chłopca w nabywaniu ziemi. Kupował, gdy się tylko zdarzyło, zaokrąglał dziedzictwo rodzinne, nigdy przecież nie rugując sąsiadów, nie korzystając z przypadku złej doli. Przeciwnie, pożyczając, wspomagał: był dobrym, uczynnym dla wszystkich i tylko jednego z mieszkanców Damvillers chętnie wysadził z jego posiadłości, którą skupił. Był to ksiądz, który, korzystając ze zmiany praw krajowych, zrzucał suknię kapłańską, Bastien nie lubił go, nie żył z nim wcale.

Juliusz pokazywał też przyjaciołom miejsca, których krajobrazy służyły za tło jego obrazom. Chodzono po polach, łąkach, lasach, różne krzewy leśne już pękały, znalaziono i parę kwiatów wczesnych: biały anemon leśny i różowy kwiat na bezlistnym jeszcze krzewie bukszpanu. On to zbierał, oglądał z miłością razem artyści i wieśniaki—może z przecuciem, że wkrótce odejdzie od tego wszystkiego. Zaprowadził też przyjaciół do małego kościółka wiejskiego, zkad miał wychodzić na marzonym przez niego obrazie pogrzebowy kondukt zmarłej dziewczyny, a z którego, niestety! wyniesiono potem niedługo jego biedne, wychudłe, wyschłe ciało.

Gdy mil mu goście wyjechali, jego zjęła nieznaną mu dotąd za niemi tęsknota; zaczął pisywać często, jak nigdy, jak nigdy długie listy. Sam się dziwił tej potrzebie wylewania uczuć, myśli swoich, tego wypowiedzania się przed tymi, których serce jego kochało. Pisał o tem do Karola Bande, uważając żartobliwie, że mogliby przyjaciele powiedzieć o nim z tego powodu: „On nous l'a changé.“ Było to już przecucie rozdziału, tajemnicze i bezwiedne, a wzrusza tu niewymownie szczegół, że ten człowiek już dojrzały, już lat życia średnich, zawsze w każdym liście do bliżej z rodziną jego związanych, pisze: „Mama cię pozdrawia.“ „Mama chciałaby cię zobaczyć.“ Jego kochające serce pozostało zawsze tak młodym, że czuł się do śmierci dzieckiem matki swojej.

A zbliżała się ta śmierć przedwczesna szybko, reumatyzmy dolegały coraz mocniej, siła trawienia zmniejszała się w sposób niepokojący. Chudł bardzo, słabł, a przebył też jeszcze bolesną ciężką. Dziadek, starzec już w bardzo późnym wieku, umarł, a raczej usnął. Rzecz była przewidziana i naturalna, ale dla rodziny, silnie uczuciem spójonej, był to ból wielki i Juliusz pisał do Theuriet'a: „Dom opustoszał teraz niepojęcie! Jeszcze kilka dni temu, a drzwi otwierały się razporaz, i kochana postać dziadka, zjawiała się w nich. Przybywał bez powodu, bez celu—nic nie mówiąc i nie potrzebując nawet, aby do niego mówiono. Ale widok jego pocziwej twarzy już robił przyjemność. Ucałowało ma się ręce: odchodził tak, jak przyszedł, to kierując się do ogrodu, to przysiadając gdzieś, to wracając znowu. Teraz dopiero przypominamy sobie, że od kilku dni był blady...“

Co to za piękny obraz dobrej rodziny! Ale niestety, sędziwy dziadek o mało co wyprzedził wnuka. W lecie r. 1883 wysłano Juliusza pod łagodniejsze niebo, w cieplejszy klimat—do Algieru. Pojechała z nim matka i służący Felix, którego bardzo lubił i uczył rysować. Matka, już teraz kobieta niemłoda, która nie podróżowała nigdy, jechała jednak odważnie, ale, niestety!

w sercu jej było bardzo mało nadziei i Theuriet widział, jak układając w podróżną walizę bielinę syna płakała, jak łzy spadały kroplami z oczu zchylonej. I on sam już teraz przewidywał blizki koniec. Jednego ranku wyszedł z domu nie opowiadając się nikomu, i bawił długo, aż do zaniepokojenia biednej matki. Gdy za powrotem Theuriet mu to wymawiał, on go ścisnął za rękę. — Kiedy się ma przed sobą drogę daleką, należy uporządkować swoje interesa — rzekł.

Był notaryuszem i zrobił testament. Gdy to powiedział przyjacielowi, dodał: — „Biedna matka! Nie sypia po całych nocach, aby smarować mi nogi co moment, a ja udaję, że mi to pomaga...”

Reumatyzmy tak mu dolegały. Cierpiał je w nogach okrutnie, i kaszał coraz mocniej, coraz mocniej chudł, coraz mniej mógł przyjmować pożywienia. Pobyt w Algierji przyniósł tylko ulgę chwilową i nieznaczną; za powrotem już nie mógł pracować, choć pragnął; zrywał się do tego — naderemnie! Nogi nie mogły go już utrzymać przed stalugami. Stracił też zupełnie sen i apetyt, i biedak zażądał naraz aby mu dawano potrawy, jadane niegdyś, potrawy wiejskie: „Dobre, proste, jędrne jadło...” ale, niestety, odpychał teraz talerz, ledwo pokosztowawszy. Kapusta, zupy na słoninie... nie były takie jak niegdyś — mówił z żalem.

— Trzeba na to — jak widać — aby jarzyny i słonina były ztamtąd... aby gotowała to kucharka tamtejsza...

I w oczach stawały mu wtedy łzy: przypominał sobie ze smętnem rozczuleniem miejsca te drogie, których już nie miał widzieć nigdy, choć pragnął tego i nie wierzył, aby lekarze paryscy mogli mu wrócić zdrowie. Czasem, gdy życie jeszcze młode nagle chwyciło się jakiejś pajęczej nici nadziei, czynił projekta powrotu do Damvillers. W Paryżu miał przesłizny pałacyk w okolicy parku Monceau; było tu nagromadzone wszystko, co pieniądz i gust szlachetny mogą w połączeniu zrobić dla wygody i przyjemności ludzkiej, on przecież myślał z tęsknotą o miejscach, gdzie, niestety! powrócił niedługo w trumnie! W końcu Listopada stał się już tak słaby, że brat znosił go na rękach do powozu, aby przejechał się trochę, a wśród tego słabnięcia zaszła w nim wielka zmiana. Zawsze przez wysoko pojęty ideał cnoty i godności człowieka surowy w sądach o ludziach, a potem przez chorobę i rozdrażnienie nerwowe cierpki i niecierpliwy, w ostatnich czasach stał się bardzo łagodnym i pobłażliwym — takim, jakim był mały Julek... mówiła nieśczęśliwa matka. Przebaczył wszystkim tym, którzy niegdyś chcieli go zepchnąć z drogi, na której ich wyprzedzał — darował wszystko i pogodzony ze wszystkimi, umarł śmiercią cichą i spokojną.

Było to 10 Grudnia r. 1884 o szóstej rano; 9-go długo w noc zatrzymał przy sobie matkę i brata, bo aż do czwartej rano, rozmawiając wciąż o Damvillers, przypominając sobie różne szczegóły z przeszłości: z dzieciństwa nawet i młodości pierwszej. Przywoził sobie na pamięć ludzi, miejsca, aż usłyszał, że bije czwarta. — „Ach!.. rzekł z uśmiechem, naśladowując słowa, mawiane niegdyś przez ojca — oto godzina, w której dzieci powinny iść spać...” I uściśkał bardzo tkliwie matkę, brata; zmęczeni usnęli oboje zaraz, a matka została nagle zbudzona wzywającym jej głosem syna. — „Pić, mamó — rzekł, lecz przestraszona kobieta spostrzegła, że zaniewidział, że wyciągając rękę po kubek, szuka go omackiem. Ale chory łagodnie żartował z tego. To nic... przewidzi on wkrótce.

Wkrótce umarł — zdawało się, że zdrzymał się tylko, lecz było to już ostatnie zamknięcie oczu

na ziemi. Szósta godzina była może, ale w Grudniu panowała jeszcze wtedy noc i do nowego światła odszedł z ciemności.

D. 12 Grudnia odprowadzono jego zwłoki na dworzec drogi żelaznej; przybyły one nazajutrz rano do Damvillers, a że była to Niedziela, cała ludność wioski wyszła na ich spotkanie. Plakano go, nie konwencyonalnie, ale szczerze, gorąco, jak rodzeństwo płacze brata, który nigdy nie odłączył się od niego. Było to istnienie dziwnie piękne, jako serce, zwłaszcza jako uczucie; sztuka była tylko jednym z wyrazów tej tklivej, szlachetnej duszy.

DROBNE LISTKI.

— **Poszukiwanie raju** coraz silniej zajmuje biedną ludność dzisiejszą. Dwóch uczonych ogłosiło świeżo sprawozdanie z prac swoich w tym kierunku. Niemiec, Maurycy Engel, utrzymuje, że Raj leżał w Turcyi Azyatyckiej, w oazie Ruhe, na wschód Hauranu. Amerykanin, Wiliam Warren, mieści go u Bieguna Północnego, bo miejsce to odpowiada jedynie czterem rzekom, o jakich wspomina Pismo Święte. Prócz tego Katarzyna Wolfe, najbogatsza panna w Stanach Zjednoczonych, ofiarowała 500,000 franków na poszukiwania, które powierzyła współziomkowi swemu, Wiliamowi Hayes Word; ten przecież po dziesięciomiesięcznym pobycie nad brzegami Tygru i Eufratu, powrócił, nic nie odkrywając, gdyż Turcy stawili mu przeszkody w poszukiwaniu. Miss Wolfe postanawia przecież wysłać nową wyprawę.

— **Zola** we wspomnieniach swojej młodości, przyznaje się do takiej biedy, że mieszkając na poddaszu zastawiał sidła na wróble; miesiące całe jedynym jego pożywieniem mięsnym było pieczyście, które sobie z tych ptaszek sam w piecu na ruszcie przyrządzał. Wiktor Hugo podobnie smarzył sobie baranie kotlety.

— **Król Szwedki** zajęty jest od lat kilku piśaniem Historji Europy, od 1663 do 1872 r. Dzieło to, będące już na ukończeniu, zostanie ogłoszone drukiem na wiosnę.

— **Malarz Angeli** maluje na żądanie królowej, Wiktorji portret jej najmłodszego zięcia, ks. Henryka Battenberga.

— **Biografia Szopena** wyjdzie wkrótce w Londynie, napisana przez Ludwika Engel, obok biografii Mayerbeera, Gounoda, Mario, Rossiniego, Wagnera, Schumana, Thalberga i Berlioza. Całość będzie tworzyć gruby tom wielkiego formatu.

— **Towarzystwo Goethego**, zawiązane w Weimarze, a mające członków swoich nie tylko w Niemczech, liczy ich obecnie 950 osób. Królowa Włoska stała się od niedawna jego uczestniczką. Zadaniem stowarzyszenia jest zbieranie i zachowywanie wszystkiego, co dotyczy pism i osoby wielkiego poety, oraz wydawnictwa, zostające w związku z temi celami. Pierwszem z nich, mającem się ukazać jeszcze w tym roku, będzie „List p. Rah do księżniczki Anny Amalii”.

— **Roma**, dziennik rzymski, donosi o odkryciu w Sycylii, w prowincji Palermo, nowego wulkanu. Odkrycia dokonał oficer policyjny, przebywający w miasteczku Ficuzza; przez kilka nocy z rzędu widział on jakby łunę ognia, palące-

go się zawsze w jednym miejscu wśród wzgórz, otaczających miejscowość Basambre i przypuszczając, że może to być sygnał jakiej bandy zbójców, lub ognisko, palące się w ich obozie, wziął ze sobą jednego wieczoru oddział policyi i cicho, skrycie wyruszył w stronę widzianego płomienia. Po kilku godzinach bardzo trudnej i niebezpiecznej drogi, wązami górskimi, usłyszano nagle odgłos jak-gdyby odległych grzmotów, czemu towarzyszyło trzęsienie ziemi i niby olbrzymie jakieś westchnienia. Potem ujrano słup ognia wybuchający ze szczytu pobliskiego pagórka, a następnie gorący i jak ogień czerwony popiół, połączony z deszczem także rozpalonych do czerwoności kamieni, sypać się zaczął. Zaraz nazajutrz zdany został raport do Rzymu, z kąd ma przybyć do Ficuzzy komissya, dla sprawdzenia i naukowego zbadania rzeczy.

— **Dwuchsetna rocznica** odwołania Edyktu Nantejskiego była obchodzona w dniu 20 Października przez potomków starożytnych rodzin Hugonotów francuzkich, tak we Francji, w Paryżu; jak w Anglii, w mieście Kanterbury; oraz w Berlinie. Wszędzie śpiewano psalmy po francuzku, w pierwotnym starym ich tekście.

Tom III-ci Wydania zbiorowego

PISM

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

Wyszedł z druku, nakładem wydawcy *Bluszczu*, i zawiera:

Książka pamiątek, czytana przy kominkowym ogniu.

List nie wiem czyj i nie wiem dla kogo.

Adeodat na puszczy, w salonie, pod strychem, na ulicy, w chałupie, na cmentarzu.

Kwestya podrzędna, przy kominkowym ogniu rozbiegana.

Prenumerata na całe wydanie składać się mające z 5-ciu tomów, wynosi:

W Warszawie 5 rs. (można wnosić częściowo po 1 rs. co kwartał przy odbiorze tomu).

Z przesyłką pocztą za każdy tom liczy się 1 rs. 10 kop.

Nadsyłający od razu prenumeratę na wszystkie 8 tomów płacić tylko 5 rs.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 15-ty powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester.

TREŚĆ. Pogawędka. — Czytanie, przez Maryą Ilnicką. — Bez serca, obrazek z życia, (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Nowiny paryzkie. — Juliusz Bastien-Lepage, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Drobne listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 15-ty powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester. — Przegląd mód. — 21 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 26.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 30 Октября 1885 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 45.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

PRZEGLĄD MÓD.

Magazyn gładkich tanich materiałów pana Kleczyńskiego. — Okrycia i spódniczki u pani Thones — Tanie pracownice sukien. — Najtańsze kapelusze. — Niepraktyczny ale ładny biały kostium. — Co się nosi zamiast zupełnie nie modnych dziś żabotów?

Pan Kleczyński nie robiąc konkurencji nikomu, od kilku lat wyrobił sobie uznanie najtańszego i najpraktyczniejszego składu materiałów, bo nie bawiąc się w paryzkie fantazyje, które były zawsze, a dziś są szczególnie drogie, tak względnie na nasze stosunki, jak bezwzględnie przez spadek rubla. zaopatruje swój magazyn w modne, ładne i trwałe materiały krajowe, a nawet i zagraniczne, ale niedroższe. Przedewszystkiem idzie nam o przekonanie czytelniczek, jakie to śliczne są u nas w kraju wyroby; oglądaliśmy tam grube modne etaminy, czyli jak je dawniej nazywano „kanwy“ w różnych kolorach, a granatowy i mchowy były najładniejsze, dalej popelina, materiał wypróbowany jako wyborny w noszeniu, czysto wełniany; krepa, czyli „armure“, wyrób tak zwany „kiprowany“, jakby w łuszczkę wyrobiony; wszystkie te materiały w różnych odcieniach, podwójnej szerokości, od rsr. 1, do rsr. 1 kop. 10 za łokieć; ale są i tańsze: „croisé“, także czysta wełna, po 75 i 85 kop. co już można uważać, że jest tanio, a ta taniość pochodzi ztąd, że się nie opłaca wysokiego cła i ekspedycji w złocie. Taniość krajowych materiałów uznać trzeba z rzeczywistą radością i tak; wełna na w pół z bawełną sprzedaje się od 15 do 35 kop. za łokieć pojedynczej szerokości, a po 40 kop. pokazywano nam w kratkę lub miesiące zielone w modnym kolorze — dla panienek uczących

się, lub dla dzieci wyborne — a nawet na codzienną suknię domową dla osoby starszej.

Z zagranicznych, także nie zbyt drogie, bo jak powiedzieliśmy, u pana Kleczyńskiego wszystko jest w cenach przystępnych, pokazywano nam szewioty przerabiane, śliczny dyagonal w grube

futra tanie wełny deseniowane lub w drobny rzucik — najlepiej się noszące na podróżne futra, lisy i t. p. — w cenie od rsr. 1 kop. 10 lub 20. Na lekkie sukienki wieczorowe, są tam zawsze dobrze noszone i modne gładkie woaliny — czysta wełna podwójnej szerokości, po 75 kop. Oprócz

tego, magazyn zaopatruje dziś prawie wszystkie magazyny w potrzebne podszewki do sukien, a że ceny są stałe, niskie, a sklep w środku miasta — więc to i dla nas wielka wygoda.

U pani Thones, której specjalnością są okrycia, futra i kostiumy, pokazywano nam nowy zupełnie fason zimowego okrycia, dla starszych osób — było to drogie okrycie, na ottomanie duży desień aksamitny, obrzeżony w około dżetem, ślicznie przybrane sutą sznelową frendzlą; fason był zwyczajnej salopki z wązkimi rękawami, na którą zamiast pelerynki, spadał dołman pokrywający rękawki. Było to i wygodne i ciepłe i poważne — boć przecie nie każdy może i chce nosić okrycie do figury. Drugie, bardzo bogate okrycie, ale krótsze, był dołman z pluszu koloru wydry, obłożony piórami, podbity pomarańczowym aksamitem, było to bardzo wspaniałe okrycie, służyć mogące do bogatej wyprawy. Wiemy, że mora znowu wraca do mody — pokazywano też nam u pani Thones model sukni czarnej kaszmirowej mieszczonej z morą — na przód morowy spadała draperia kaszmirowa ukośnie, a stanik przybrany był morą, zamiast aksamitu. Pomimo ciężkich czasów, jak to stan obecny nazywamy, pokazywano nam spódniczki paryzkie, używane zamiast halek z nie-

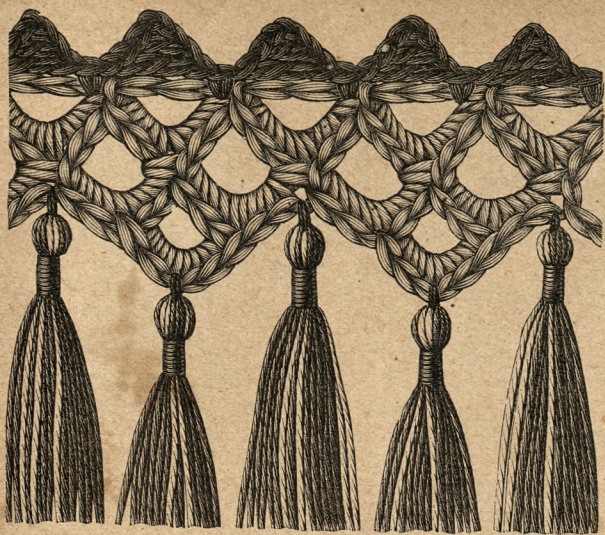


Nr 1. Suknia wieczorowa z aksamitu i koronkowego materiału
Opis pierw. str. tabl.

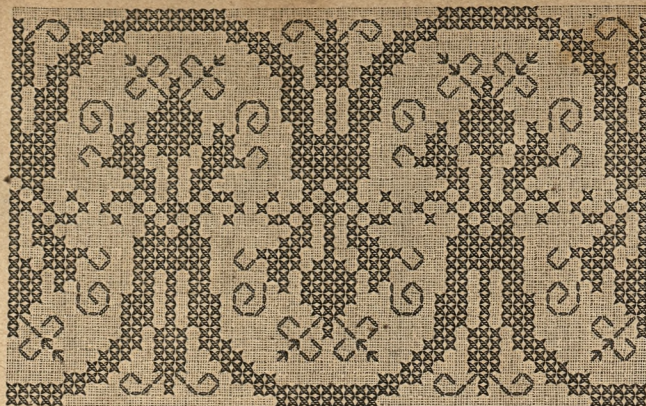
Nr 2. Suknia ślubna z mory i crepe-de-chine.
Opis pierw. str. tabl.

białego lub kremowego kaszmiru, zagarniowane walensienkami tak, iż śmiało możnaby je zamiast sukni nosić. Ponieważ zaś dziś głównie o taniość nam idzie, więc na liczne pytania nam

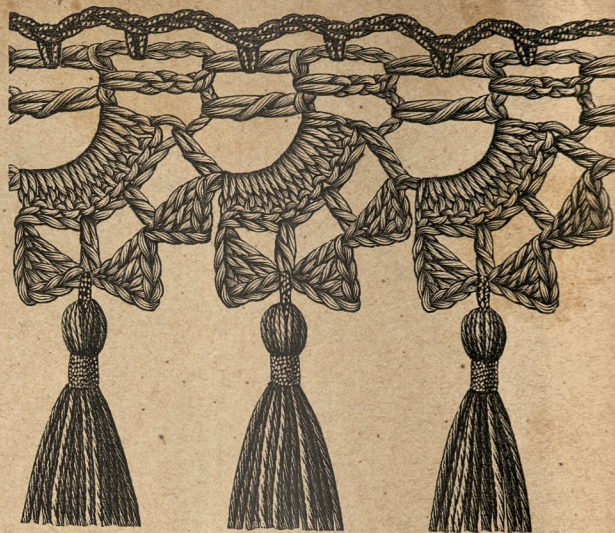
prążki, czy też pekin, bo co tylko prążkowane, to się dziś pekinem zowie, w różnych odmianach, w cenie od rsr. 1 kop. 30, do rsr. 1 kop. 60 — naturalnie podwójne i czysta wełna angielska. Na



Nr 4. Frenzla do r 5 robotą szydełkową.



Nr 3. Wzór haftu'de r. 5 krzyżowym i Holbeina ścięgiem.



Nr 6. Frenzla do serwet, mebli i t. p. szydełkową robo.

Przykrycie na sofę krzyżowym i Holbeina ścięgiem oraz szydełkową robotą.

Rycina Nr 3 do 5.

Przykrycie złożone ze szlaku 15 cent. szerokiego, haftowanego na kanwie „antique“ przerabianej złotem, brązową filozelą, ścięgiem krzyżowym i Holbeina, podług wzoru ryc. 3; szlak ten osyty z jednej strony brązowym pluszem, a z drugiej szydełkowymi ząbkami i kwaścikami z nici i brązowej włóczki. Ząbki robią się jak

następuje.
Kolej 1: 8
ocz. pow.,
zaczepić 1
z nich. * 6
ścis. ocz. o
pierwsze 4
z wolnych
jeszcze 7 o.
7 pow. ocz.
w ostatnie
ścis. ocz., 3
ścis. ocz. o
najbliższe



Nr 7. Znak do bielizny.



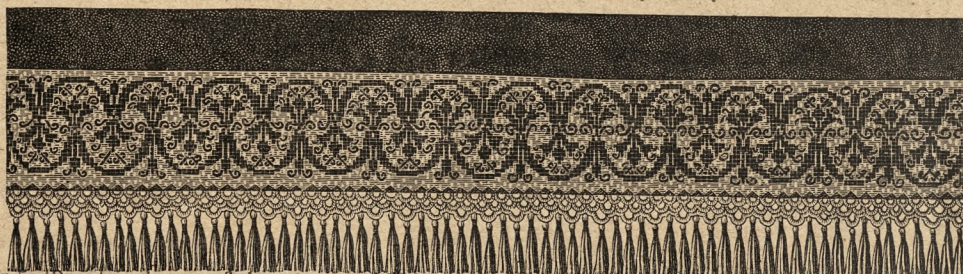
Nr 8. Znak do bielizny.

zadawane, polecamy dwie pracownie, gdzieśmy widzieli tanio i dobrze zrobione suknie: pani Wodyńskiej, Królewska Nr 5 i pani Trelle, Nowy-Swiat Nr 26.

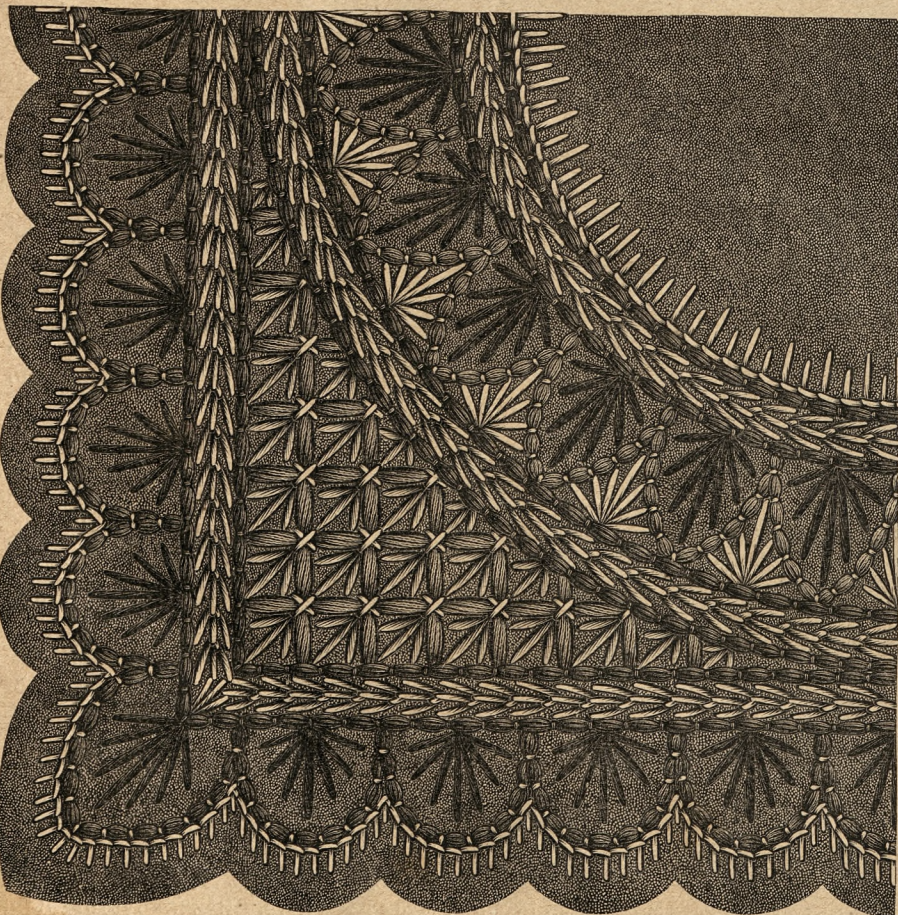
Kapelusze tegoroczne są też bardzo tanie, jeżeli ktoś nie szuka najwykwintniejszych; widzimy je wszędzie z cenami zniżonemi w oknach. Pani Anna, róg Marszałkowskiej i Próżnej, przy swoim wielkim magazynie gotowych kostiumów praktycznych, gdzieśmy jednak i najmodniejsze nie praktyczne widzieli, otworzyła także i magazyn kapeluszy, gdzie znaleźć można prawdziwie oryginalne modele paryżkie. Do tanich magazynów, gdzie jednak bardzo zrzęcznie upięte kapelusze zawsze znaleźć można w wielkim wyborze, zaliczą się magazyn pani Marcinkowskiej; Sto-Krzyżka Nr 11.

Ow niepraktyczny kostium, był z białej etaminy, ale tak grubej, jak zgrzebne płótno używane na worki — sličnie upiętą draperję ozdobił z boku galon złoty, przerabiany z białą wełną, 5 cent. szeroki, z którego był kołnierzyk i mankiety.

Mówiliśmy już, że wszelkie załaty, fiszutki, nawet bluzki, kokardy wyszły stanowczo z użycia; jedną tylko nowością można je czasem zastąpić, a tą są kołnierze z paciorem „plomb“ — drewnianych, lub nawet kolorowych jak różowe i niebieskie, które związane w tyle na kokardę, bardzo ładnie zdobią stanik — dla trwałości widać są naszyte na skórze — jednak musimy przyznać, że w noszeniu nie zbyt to miłe być musi.



Nr 5. Przykrycie na sofę krzyżowym i Holbeina ścięgiem, oraz robotą szydełkową. (Do ryc. 3 i 4).



10. Wzór haftu na serwetę, patarafkę i t. p. ścięgiem pocztowym i w rybią łuszczkę.



Nr 11. Czwarta część serwetki siatkową robotą.

2 z poprzednich 7 pow. o., 4 pow. o. zaczepić 3 o. poprzednich 6 o. ścis., 6 ści. ocz. o 4 pow. o., 3 ści. ocz. o 2 jeszcze wolne ocz. z poprzednich 7, 7 ocz. pow., zaczepić o ostatnie ścis. ocz., 3 ścis. ocz. o najbliższe 2 z poprzednich 7 pow. ocz., 4 pow. o. zaczepić o 3 ocz. z poprzednich 6 ścis. ocz., 6 ścis. ocz. o poprzednie 4 pow. ocz., 3 ścis. ocz. o wolne jeszcze 2 ocz., z 4 ocz. pow., 3 ścis. ocz. o najbliższe wolne jeszcze ocz. z ostatnich 7 pow. ocz., 7 pow. ocz., 2 ostatnie ścis. ocz. zaczepić i od * powtarzać. Następnie u góry zębów robi się jeszcze 1 kolej: * 1 ścis. ocz. o pionową петельkę ostatniego ścis. ocz., 4 pow. ocz., po nich powracając najbliższe ocz. opuścić, 1 ścis. ocz., 2 słup, w następne 3 ocz., od * powtarzać. Ta ostatnia kolej przyszywa się do szlaku.

Frenzla do serwet, pokrycia na sofę i t. p. szydełkową robotą.

Rycina Nr 6.

Frenzla z jasnych nici, brązowej włóczki i krętej przędzy. Kolej 1 robi się w poprzek z nici: 9 pow. ocz., 2 słupki przedzielone 3 ocz. pow. w pierwsze z 9 pow. ocz. Kolej 2: 5 pow. ocz., 1 słup. o najbliższe 3 pow. ocz., 9 słup. o ocz. pow. za najbliższym słup. Kolej 3: † 1 ząbek z 4 ocz. pow., po nich powracając najbliższe ocz. opuścić, 1 o. ścis., 1 pół-słup., 1 słup. w 3 ocz. następne, potem 1 słup. w trzeci słup. poprzedniej kolei. od † 2 razy powtórzyć, potem 6 pow. ocz.



Nr 12. Kostium sukieny przybrany astrachanem. Plecy. (Do r. 14 w B. Nr 46).

1 sł. o najbliższe 3 o., 3 pow. o., 1 sł. o następne 5 ocz.; dalej powtarzać naprzemian 2 i 3 kolej. U góry zębów robi się 1 kolej krętą przedzą i włóczką jednocześnie, ciągle naprzemian: 1 ści. ocz. obijając brzeg i 3 pow. ocz. Kwaściki zrobione z nici i włóczki i owinięte krętą przedzą.



Nr 14. Suknia z aksamitu i „velours-frisé“.

Nr 15. Suknia z wełnianego materiału w pasy.

Kaftanik sukieny przybrany astrachanem.

Rycina Nr 12.

Spódnica z podszewki, oszyta u dołu na 12 centim. szeroko brązowym astrachanem i pokryta drugą 244 cent. szeroką, a 70 cent. wysoką, u góry zmarszczoną, a u dołu oszytą dużymi perełkami spódnice. Przód tiuniki wysoko podpięty, na boku oszyty perełkami i podszyty astrachanem 11 cent. szeroko, tak jednak, aby widocznym był tylko na 6 do 7 centim.; tył tiuniki u góry ułożony w fałdy, u dołu zmarszczony i przyszyty do spódnicy i z nią razem wszyty w pasek, przyczem przód tiuniki powinien zachodzić na tył. Przody stanika pokryte astrachanem tak, aby się formował napierśnik. Kołnierzyk, mankiety i poły z astrachanu, oraz figury pasmanteryjne z jedwabnego brązowego sznurka, dopełniają stanika.

Suknia z aksamitu i „velours-frisé“.

Rycina Nr 14.

Spódnica z podszewki, pokryta drugą spódnicą z „velours-frisé“ (brązowe kwiaty na jasnym tle) z przodu gładką, z tyłu marszczoną, na boku rozciętą tak, aby aksamit naszyty na spódnicy, był widoczny. Marszczona bluzka z kremowego surah, z aksamitnym kołnierzykiem. Kaftanik aksamitny hiszpański, rękawki pół-krótkie, oszyte bufką. Brązowa jedwabna szarfa z wiazana z tyłu na kokardę.

Suknia z wełnianego materiału w pasy.

Rycina Nr 15.

Spódnica z podszewki, pokryta szarym wełnianym materiałem w pasy, z przodu gładkim, z tyłu zmarszczonym suto, na boku zachodzi jeden brzeg na drugi, prawy podszyty szarą materyą i odwinięty. Stanik zapięty na bok, przybrany napierśni-



Nr 13. Okrycie z wyciskanego materiału. Plecy. (Do ryc. 16).

kiem, kołnierzykiem naszytem sutaszem i aksamitnymi ranwersami; jedwabna szarfa zakończona kwastami dopełnia sukni.

Okrycie krótkie.

Rycina Nr 17.

Okrycie zrobione z jasnego wełnianego materiału; przód uło-



Nr 16. Okrycie z wyciskanego materiału. Przód (Do ryc. 13). Krój i opis pierw. str. tabl. I, Nr fig. 1—8.



Nr 17. Okrycie z prążkowanego materiału.

śledzie, jak i wszelkie jajka puszczać od razu na talerz lub półmisek z angielskiej blachy, z którym się podaje, bo z patelni źle zdejmować.

Wódka mocna gorzka wzmacniająca żołądek.

W gąsiorek półgarncowy z szerokim otworem lub dużą kompotierę z wysoką szyją, włożyć tyle zielonych świeżych pomarańczy, ile przykryje pół kwarty spirytusu 4 próby; pomarańcze kupują się u ogrodników, zawiadujących oranżeryami. Następnie włożyć w tę flaszkę pół funta suchych gorzkich pomarańczy, kupując w składzie kolonialnym — gdyż w składach aptecznych są zwykle bez aromatu i zanadto suche — dalej włożyć skórkę żółtą, skrojoną cienko z czterech dużych z grubą skórą pomarańczy i dolać drugą pół kwartę spirytusu. Zostawić to w cieniu na dni 6, potem zlać przez muslin gęsty — zrobić karmelu czyli cukru rumianego, z jednego funta cukru najmniej, krojąc tylko troszkę cukier wodą i topiąc go początkowo na wolnym ogniu, a następnie gotując do rumianego mocno koloru; jak się zwykle robi karmel na użycie do sosów, to jest w chwili, gdy się dobrze zrumieni, ale jeszcze nie spali, wlać kwaterkę wody zimnej i półki gorący, wymieszać z zlaną essencją z pomarańczy, która przefiltrować razem przez szwedzką bibułę. Oddzielnie wziąć gąsior przeszło garncowy, wlać pół-garnca najlepszego spirytusu 14 próby, dobrać go pół-garncem przegotowanej wo-



Nr 18. Stanik kaszmirowy. Opis odwr. str. tabl.



Nr 19. Stanik z sukna. Opis odwr. str. tabl.

żony w plisy, tyl marszczony i przyszyty do drugiego boczka i pleców, przyszyć zakrywa pletnia 2 centim. szeroka, zrobiona z jedwabnego sznurka, ułożona na bokach w węzeł i zakończona grelotkami; pod węzłem przyszyć dwa 96 cent. długie końce takiejże pletni do związywania z przodu; u rękawów, u szyi i przy wcięciu stanu, okrycie ozdobione pasmanterią.

Przepisy gospodarskie.

Postne śniadanie; śledzie z jajkiem.

W poście każda staranna gospodyni, miewa zaw sze w domu wymoczone śledzie; otóż takiego wymoczonego śledzia oczyścić wewnątrz, zostawiając wierzchnią skórę, rozciąć brzuszkiem, rozłożyć na płasko, wyjmując kość grzbietową od razu, obetrzeć dobrze z wilgoci bibułą, umoczyć w rozbitem z łyżką wody jajku, następnie w tartej przesianej bułce lub w mące i rzucić na młode niesolone rumiane masło na patelnię, skórką do patelni, gdy się już zrumieni, przewrócić na drugą stronę i wtedy na to samo masło, obok śledzia, wpuścić dwa jajka, u których gdy się tylko białka zetną, podawać na stół. Można się obejść bez jajka do maczania, ale wtedy można tylko w mące utarzać śledzia. Jajka do puszczenia czy to na wodę, czy na ocet, czy też na masło, powinny leżeć 5 minut w ciepłej wodzie, inaczej bardzo długo nie chcą się ścinać i do patelni przywierają. Wyborne śniadanie na prędcę. Najlepiej także



Nr 20. Suknia z satin-merveilleux i adamaszku.

Nr 21. Kostium sukieny. Opis odwr. str. tabl.

dy — wódka powinna mieć moc 40 stopni próby. Gdy się dobrze wygrzysie — najlepiej w 6 godzin po dobraniu wodą wlać ową essencję z pomara-

czek, skłócić dobrze i zostawić w spokoju na 3 miesiące najmniej, a będzie to prawdziwie wzmacniająca i rozgrzewająca żołądek doskonała wódka.

Doświadczenie gospodarskie.

Flaki już na półmisku polać młodem masłem z rumianą bułeczką, a w około ubrać małymi ciastkami z francuskiego ciasta.

L. C

Obiad na Niedzielę

1. Barszcz burakowy czysty, z pierogiem z mięsa w cieście.

2. Sztufada z jarzynami „boeuf à la mode“.

3. Pularda z kompotem z jabłek.

4. Legumina krakowska.

UWAGA

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w 46 numerze Bluszu podać się mające.